Dziś w numerze: Miesiąc w Moskwie • „Wólczanka" • Kilka uwag o sytuacji aktora • Nie święci garnki... • Szybałkowe nasienie • Recenzje • Felietony • Polonica


# odgłosy

Nr 44 (406)
6. XI. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX

Fot. Z. Szabo Laszlo

# PROBLEMY kultury masowej w Łodzi

**Redakcja „Odgłosów" zwróciła się do członka Prezydium Zarządu Głównego Związku Zaw. Prac. Przemysłu Włókienniczego, Odzieżowego i Skórzanego, ob. Karola Grabowskiego, odpowiedzialnego za sprawy kultury i oświaty Związku, delegata na Kongres Kultury Polskiej, oraz do ob. mgr Józefa Marczaka, kierownika Ośrodka Badawczego ZG, z prośbą o rozmowę na temat osiągnięć i perspektyw rozwojowych działalności kulturalno-oświatowej Związku.**

**ODGŁOSY: Czy na Kongresie Kultury oceniano szerzej działalność kulturalno-oświatową związków zawodowych?**

**K. GRABOWSKI:** Tak. Zarówno w komisjach jak i na plenarnych obradach Kongresu. Sprawom upowszechniania kultury w środowiskach robotniczych poświęcono wiele miejsca. Wysoką ocenę Kongresu otrzymały takie dziedziny upowszechniania kultury masowej, jak konkursy recytatorskie i działalność amatorskich zespołów artystycznych. I słusznie, bowiem ten szeroki ruch tworzy wciąż nowe dobra kulturalne.

Uwagę delegatów na Kongres absorbował również inny ważny problem, mianowicie – koordynacja pracy, baza materialna, kadry i formy przekazu działalności kulturalno-oświatowej do najszerszych środowisk robotniczych.

Wspomnę na marginesie, iż na komisji IX, która zajmowała się działalnością kulturalną w środowisku przemysłowo-robotniczym, padło dużo krytycznych uwag pod adresem tych zakładowych placówek kulturalnych, które zasklepiły się w swej działalności na terenie zakładów pracy. Chciałbym tu podkreślić, że właśnie nasz związek, na przestrzeni bez mała dziesięciu lat, przeciwstawiał się tendencjom „zamykania kultury w murach zakładów", że mimo lansowanych poglądów zawsze tworzył, i zresztą tworzy nadal, placówki międzyzakładowe, które rozwijają działalność – jeśli można tak powiedzieć – po zewnętrznej stronie murów fabrycznych. Podam parę przykładów takiej działalności z terenu Łodzi. Oto w sezonie letnim wielu mieszkańców naszego miasta słuchało koncertów, organizowanych w ramach Zielonego Festiwalu przez znany „Pałacyk" przy ul. Piotrkowskiej 262. Niemniej, tylko niewielu jego bywalców wie, że ten pięknie urządzony amfiteatr powstał właśnie dzięki koordynacji wysiłków sześciu zakładów włókienniczych: ZPDz „Olimpia", ZFW im. Świerczewskiego i Bardowskiego, ZPO im. Próchnika, ZPP im. Jurczaka i Centralnego Laboratorium Przemysłu Bawełnianego. Zakłady te, z inspiracji wiodącego, którym jest „Olimpia", stworzyły Międzyzakładowy Dom Kultury Włókniarzy „Pala-

Dalszy ciąg na str. 3

ZOFIA LIBISZOWSKA

# MIGAWKI Z DREZNA

Drezno. Miasto, które umarło w pamiętną noc z 13 na 14 lutego 1945 r. W ciągu kilku godzin rozszalała, niszczycielska machina wojenna zamieniła je w rumowisko gruzów i sterczących kikutów wypalonych domów. 35 tysięcy ludzi utraciło tej nocy życie. Okaleczonych, rannych, oparzonych i oszalałych nikt już nie policzył. Noc sądu i apokaliptycznej grozy przeszła nad miastem.

Do dziś w żadnym innym mieście NRD nie spotyka się tak wielu inwalidów, kalek i tragicznie samotnych starych kobiet.

Nazywano je długo umarłym miastem. Dziś jest ono znów skarbnicą kultury narodowej, miastem odwiedzin, ruchliwym ośrodkiem turystycznym. Odradzają się piękne, szerokie ulice, powstają nowoczesne dzielnice. Łoskocą dźwigi i buldożery, ciężarówki-kolosy przewożą gotowe elementy budowlane, gigantyczne lewary chwytają je w swe stalowe szczęki, i unoszą w górę. W oczach przechodniów rosną nowe kondygnacje strzelistych wieżowców. Dowiaduje się ku memu zdumieniu, że kwestia mieszkaniowa w Dreźnie tak zresztą jak i w Berlinie jest już rozwiązana. Sytuację ułatwia niewątpliwie niewielki przyrost naturalny, natomiast nawet samotni i renciści otrzymują przydział na samodzielne mieszkanie.

Nowoczesność splata się tu na każdym kroku z historią. Jesteśmy przecież w pradawnej stolicy Saksonii, umiłowanej siedzibie naszych królów Augusta II i Augusta III, a potem Fryderyka Augusta księcia Warszawskiego. Właśnie w latach unii z Polską Drezno rozkwitło a hojni władcy nie szczędzili złota by je podnieść do rangi europejskiej stolicy. Dawny zamek królewski nie odpowiadał już stylowi życia ówczesnych monarchów. August II buduje więc Zwinger (zwany tak od Zwinger — Garten, zieleńca, leżącego w obrębie murów zamkowych), architektoniczne cacko późnego baroku. Place parady, pomniki, opera i teatry rosną wokół rezydencji królewskiej. Ministrowie, dostojnicy i wielmoże stawiają tu swe pałace, rywalizując z władcą bogactwem i przepychem. Toteż mieszkańcy Drezna zachowali we wdzięcznej pamięci zapobiegliwych władców z rodziny Wettynów. Odnowiony pomnik Augusta II — suto pozłacany jeździec i koń — błyszczy z daleka jak gwiazda przewodnia, ułatwiając turyście orientację. Część tych wspaniałości już odbudowano, inne zabezpieczone przed dalszym zniszczeniem czekają swej kolejki. Inwestycje to olbrzymie. Chyba jednak opłacalne. Przed odnowionym i piękniejszym niż kiedykolwiek Zwingerem nieustanny tłum turystów. Wysypują się z samochodów i autokarów, zjeżdżają specjalnymi pociągami. Gwarni i krzykliwi jak wszyscy turyści milkną oszołomieni pięknem i architektoniczną harmonią budowli. Bogactwo motywów ornamentacyjnych, niebywały wdzięk i lekkość oraz symetria rozplanowania nie mają sobie równej. Jedno skrzydło pałacu przegląda się w wodach kanału, gdzie tak jak za królów saskich pokwakują zadomowione tu dzikie kaczki. W Zwingerze mieści się słynna galeria malarstwa, kolekcja przepysznej porcelany chińskiej, japońskiej i miśnieńskiej, muzeum historyczne, wyroby snycerskie. Są to przeważnie zbiory prywatne naszych znajomych Sasów. Płacili złotem, polskim orderem Orła Białego lub... żołnierzami saskimi, których oddawali na służbę swym wierzycielom.

W skrzydle pałacu znajdują się również bogate zbiory ornitologiczne, gdzie przede wszystkim młodociani turyści czują się świetnie. Osobne wejście i (opłata) otwiera drogę do kunsztownej groty nimf. Pomysłowe wodotryski szemrzą tu u stóp mitologicznych figur symbolizujących poezję, miłość i inne uroki życia.

Opodal w kompleksie klasycystycznych budowli, wznoszących się nad Łabą na tzw. wybrzeżu Brühla mieści się galeria malarstwa niemieckiego (ściślej mówiąc saskiego) i nowoczesnego „Albertinum" a także olśniewający bogactwem złota i blaskiem szlachetnych kamieni oraz kunsztem złotniczym i artystycznym skarbiec korony saskiej, osławiony Grünes Gewölbe. Zmęczony, oszołomiony nadmiarem wrażeń turysta szuka z kolei odprężenia i wytchnienia w stylowej restauracji zwanej, na pamiątkę mistrzów włoskich, którzy w XVIII w. budowali Zwinger, Italienische Dörfer.

Dalszy ciąg na str. 4

# ZE ŚWIATA

*Podczas gdy oczy obserwatorów kierowały się na Manilę, która zresztą wykazała, iż USA nie chcą uczynić kroku w kierunku pokojowego rozstrzygnięcia konfliktu wietnamskiego, w Europie wybuchła prawdziwa bomba. W koalicji bońskiej nastąpił rozłam, którego skutki mogą być poważniejsze niż się pozornie wydaje. Formalną przyczyną wycofania się z rządu wicekanclerza Mende i trzech ministrów z jego partii był spór, dotyczący zrównoważenia budżetu. Praktycznie chodzi zapewne o wymuszenie na Erhardzie ustępstw na rzecz FDP i zademonstrowanie jej niezależności w obliczu wyborów w Hesji (6 listopada) i Bawarii (20 listopada). Kiedyś już — z Adenauerem — gierka taka się udała.*

*Bardziej jednak od tych „koalicyjnych rozgrywek" interesują nas NASTĘPSTWA rozłamu. I chociaż trudno w polityce prorokować, co przyniesie najbliższy okres, przecież mówi się o upadku gabinetu Erharda. Nie jest to zupełnie pozbawione sensu, kiedy weźmie się pod uwagę szereg niepowodzeń politycznych, jakie jego ostatnio spotkały. Na tym tle rozpad koalicji nabiera innego zabarwienia.*

*Prasa zachodnioniemiecka twierdzi, że właściwie polityczny los Erharda został już przesądzony. „Koelnische Rundschau" pisze np.: „Dni Ludwika Erharda są policzone... CDU/CSU musi szukać nowego kanclerza, jeśli chce pozostać przy władzy". „General Anzeiger" dodaje, że „Erhard jest obecnie nie do uratowania, głównie dlatego, że zawiódł na koniec nawet najzagorzalszych zwolenników swą niezdolnością do zaprowadzenia porządku na własnym terenie — w gospodarce".*

*Zastanawiając się: co będzie teraz? — tylko nieliczni obserwatorzy rokują możliwości egzystencji rządowi mniejszościowemu CDU/CSU. (Opozycja rozporządzać będzie w Bundestagu 6 głosami przewagi). Większość uważa, że albo trzeba odnowić koncepcje „wielkiej koalicji" — z SPD, albo powrócić do koalicji z FDP, ale to ostatnie wymaga zmiany kanclerza.*

*Kto mógłby nim zostać?*

*Pytanie na razie trzeba pozostawić bez odpowiedzi, przypominając jedynie, że od pewnego czasu wciąż wzrasta polityczna pozycja Straussa. Niektórzy przypuszczają, że — być może — jest on obecnie bliżej kancelarii Republiki Federalnej niż kiedykolwiek.*

*Sytuacja w NRF niepokoi koła polityczne Stanów Zjednoczonych. Na łamach prasy amerykańskiej utożsamia się ewentualne odejście Erharda z wejściem Niemiec zachodnich na drogę „politycznego eksperymentu" i „zmiana w orientacji polityki zagranicznej". Praktycznie. Waszyngton obawia się, że mogą osłabnąć związki NRF ze Stanami Zjednoczonymi.*

*Czy jest to obawa uzasadniona — niech świadczą następujące słowa „Bild Zeitung":*

*„Ochłodzenie przyjaźni z Ameryką, silne ochłodzenie przyjaźni z Francją, mróz w stosunkach ze Związkiem Radzieckim — oto nasze nędzne położenie w polityce zagranicznej. Gdyby nasz minister spraw zagranicznych był przedstawicielem firmy lodówek — mogłby być zadowolony...". Dziennik konkluduje: „Polityka wzorowego ucznia wobec Ameryki nic nam nie przyniosła".*

*Nie jest to zupełnie ścisłe, ale sygnalizuje o narastającym niezadowoleniu w NRF z kursu Erharda.*

*Wyraźna orientacja proamerykańska — jak to stwierdził przed kilku dniami na konferencji prasowej prez. de Gaulle — sprawiła, że układ francusko-zachodnioniemiecki pozbawiony został „ducha treści". A przecież sojusz z Francją ma w wielu politykach NRF gorących zwolenników.*

*I właśnie zmiany orientacji w kierunku Francji po ewentualnym upadku Erharda szczególnie obawia się Waszyngton.*

*Konferencja prasowa de Gaulle'a pozwala mi przejść od tematyki europejskiej do azjatyckiej, a, konkretnie do Wietnamu. De Gaulle bowiem w znacznej części swego wystąpienia zajął się właśnie tą problematyką.*

*Powtarzając, że „niemożliwe jest takie zwycięstwo wojskowe, które mogłoby pozwolić Amerykanom na podporządkowanie sobie Wietnamczyków" oraz mówiąc, że Francja uważa „za rzecz absolutnie odrażającą, iż mały naród jest bombardowany przez naród bardzo wielki" prezydent opowiedział się ponownie za rokowaniami. Warunkiem tego jest jednak, aby Amerykanie „przestrzegali zasady, według której każdy naród winien sam uregulować swe sprawy, na swój sposób i swymi własnymi środkami".*

*De Gaulle podkreślił także, że Amerykanie muszą sobie zdawać sprawę, że żadne porozumienie w Azji nie byłoby trwałe bez udziału Chin, które powinny zająć należne im miejsce wśród Narodów Zjednoczonych.*

*Zbyteczne dodawać, jak bardzo KONTRASTUJE to przemówienie z wypowiedziami Johnsona w czasie jego azjatyckiej podróży i z duchem manilskiego „szczytu".*

*Konflikt wietnamski był ostatnio również głównym tematem rozmów szefów rządów Indii, Jugosławii i Zjednoczonej Republiki Arabskiej. Czterodniowe obrady w New Delhi zakończyły się wezwaniem USA do bezwarunkowego przerwania bombardowań północnego Wietnamu, wycofania obcych wojsk i powrotu do układów genewskich.*

*Nalegania na takie właśnie rozwiązanie konfliktu nasilają się z każdym tygodniem. Jak długo jeszcze zamierzają się im opierać Stany Zjednoczone? To pytanie jest powtarzane coraz częściej na różnych kontynentach.*

*W. SŁAWSKI*

# KRONIKA TYGODNIA

■ „New York Times" o obronie przeciwlotniczej Hanoi: Weterani wojny lotniczej nad północnym Wietnamem twierdzą, że loty odbywane w pobliżu Hanoi oraz portu Hajfongu wywołują najbardziej efektowne fajerwerki, jakie zna historia, w związku z gwałtownym ogniem umieszczonych na lądzie dział przeciwlotniczych...

Szef sztabu lotnictwa generał John McConnel określił to jako „największą koncentrację broni przeciwlotniczej w całej historii obrony jakiegokolwiek miasta lub jakiegokolwiek obszaru w całym świecie".

Generał brygady George B. Simler: „Obrona lotnicza północnego Wietnamu jest obroną najbardziej efektywną, jaką kiedykolwiek zastosowano w walce".

„... Z punktu widzenia technicznego dostarczany przez ZSRR system (obrony p-lot. — red.) jest na nieporównanie wyższym poziomie aniżeli jakikolwiek system lub sprzęt, którego dostarczyliśmy południowym Wietnamczykom lub jakimkolwiek innym tzw. krajom słabo rozwiniętym"

■ Na pierwszej posoborowej konferencji episkopatu austriackiego toczyła się między innymi ożywiona dyskusja na temat „tytułomanii i pogoni za dostojeństwami u kleru". Szereg dyskutantów krytycznie wyrażało się o zwyczaju całowania pierścienia biskupiego, „wschodniego obyczaju" przyklękania itp. Padały również krytyczne uwagi na temat sutanny jako szaty duchownej. W odpowiedzi na te ostatnie głosy, jeden z arcybiskupów odpowiedział, iż kapłan powinien być jednak „rozpoznawalny", i że podobnie jak toga jest strojem sędziego czy przedstawiciela władz akademickich, tak sutanna stanowi strój księdza.

■ Według doniesień agencji zachodnich w miesiącu listopadzie podpisany zostanie układ lotniczy radziecko-amerykański. Rokowania w tej sprawie trwają od 18 października i według danych amerykańskich kół rządowych przedmiotem rozmów są głównie zagadnienia techniczne i prawne.

*— Oni, zdaje mi się nie rozumieją, że idę nie w nogę.*
*(Washington Post)*

■ **AFP donosi z Pekinu: Autorzy plakatów ukazujących się w stolicy chińskiej zdwajają swe wysiłki. W chwili obecnej łatwiej byłoby wyliczyć osobistości, które nie stały się celem ataków, niż te, które krytykuje i potępia „rewolucyjna młodzież".**

■ Każdy nowy etap eksplozji chińskiej w stosunku do poprzednich — pisze o ostatniej eksplozji nuklearnej w ChRL, francuski dziennik Combat — był olbrzymim krokiem naprzód, wprawiającym za każdym razem w zdumienie specjalistów.

■ Członek prezydium KC Związku Komunistów Jugosławii Krste Crvenkowski o reorganizacji ZKJ: ZKJ staje się w coraz mniejszym stopniu czynnikiem władzy, a w coraz większym siłą ideowo-polityczną. Od 1918 roku podobnie jak i poprzednio, Jugosławia nie miała tradycji demokratycznych. Historyczną rolą ZKJ jest tworzenie demokratycznych stosunków w kraju. Chcemy, aby ZKJ stał się samodzielną siłą, która nie będzie transmisją władzy, ani rządu, lecz będzie walczyć o stworzenie ustroju socjalistycznego w naszym kraju.

■ Zachodnioniemiecki tygodnik „Der Spiegel" zarzuca Amerykanom podawanie fałszywych danych o stratach lotnictwa w Wietnamie. Tygodnik nadmienia, że Stany Zjednoczone odczuwają brak pilotów, a w konkluzji oskarża Pentagon o publikowanie fałszywych informacji z przyczyn politycznych.

■ Z okazji 30-lecia hiszpańskiej wojny domowej, jugosłowiańskie wydawnictwo „Epoka" w Zagrzebiu wydało książkę Luigi Longo o międzynarodowych brygadach w Hiszpanii.

■ **W swoim czasie dyktator Hiszpanii, generał Franco podarował z okazji ślubu króla belgijskiego, jego małżonce, koronę bogato inkrustowaną brylantami. Niedawno jednak jubiler królewski stwierdził, że większa część kamieni, to imitacja wykonana ze zwykłego szkła.**

■ Czechosłowackie Zgromadzenie Narodowe uchwaliło nową ustawę o prasie i masowych środkach informacji. Jedno z postanowień ustawy głosi, iż w celu ochrony interesów obywateli i instytucji prasa i inne masowe środki przekazu, zobowiązane są dokonywać sprostowań nieprawdziwej lub wypaczonej informacji. W wypadkach spornych sprawę rozstrzyga sąd.

■ Robert Kennedy wysunął wniosek ogłoszenia zakazu wszelkich doświadczalnych eksplozji jądrowych na okres 2—3 lat, wyrażając pogląd, że byłby to nowy sposób osiągnięcia porozumienia w sprawie nierozprzestrzeniania broni jądrowej.

■ Kim Ir Sen w wywiadzie dla egipskiego dziennika „Gumhuria": „Stanowisko wobec intelektualistów, którzy przed rewolucją współpracowali z wrogiem, powinno być wielkoduszne, sprawiedliwe i realistyczne... To właśnie starzy intelektualiści kształtują i formują młodych intelektualistów... Kultury nie można narzucić. Nie można oskarżać spuścizny kulturalnej o to, iż daleka jest od ducha rewolucji".

■ Po raz pierwszy dwie francuskie firmy osiągnęły obroty obliczane w miliardach dolarów. Są to: „Renault" i „Rhom-Poulenc". Obie firmy weszły tym samym do „klubu miliarderów", do którego należy 60 firm amerykańskich, 12 zachodnioniemieckich, 8 brytyjskich, 2 japońskie, 1 włoska i 1 szwajcarska.

■ **W Belgradzie odbywała się trzecia narada reżyserów filmowych — debiutantów z krajów socjalistycznych z udziałem przedstawicieli kinematografii ZSRR, CSRS, Polski, Węgier i Jugosławii. Z tej okazji jugosłowiańskie pismo „Polityka Express" opublikowało wywiady z czechosłowackim reżyserem P. Juraczkiem i reżyserem radzieckim H. Gabajem. Na pytanie, dlaczego współczesna kinematografia czechosłowacka zwraca na siebie powszechną uwagę, Juraczek powiedział: możliwie dlatego, że nowe pokolenie reżyserów i scenarzystów nie rozpatruje człowieka jedynie jako ogniwo społeczne. Analizujemy mianowicie to, co realizm socjalistyczny chciał zlikwidować — wewnętrzny świat bohaterów. Radziecki reżyser H. Gabaj oświadczył: W początkowym okresie władzy Chruszczowa popierano sztukę, jednakże w 1963 roku, kiedy zaistniały trudności, sam Chruszczow dał ostrą i niesprawiedliwą ocenę sztuce. Nowe pokolenie reżyserów filmowych nie zadowala się już „ilustracją oficjalnych haseł". W kinematografii na miejsce „pozytywnego bohatera" pojawił się „polemiczny obraz".**

■ W wyniku porozumień zawartych między Bułgarią a Francją przewiduje się wydatne rozszerzenie stosunków gospodarczych i handlowych między obu partnerami. M. in. firmy francuskie dostarczą Bułgarii 17 zakładów przemysłowych.

■ Wietnamski dziennik Nhan Dan o konferencji w Manili: Dokumenty konferencji w Manili i oświadczenia złożone przez Johnsona i jego pachołków na „szczycie" charakteryzuje cynizm. Są one cyniczne zarówno w nawoływaniu do wojny, jak również świadczeniu usług na rzecz pokoju... Konferencja w Manili ujawniła amerykański manewr wywierania nacisku na satelitów, by wysłali więcej młodzieży ze swych krajów jako mięso armatnie do Wietnamu południowego. Konferencja była częścią amerykańskiego projektu wzmożenia i rozszerzenia agresywnej wojny w Wietnamie i użycia Azjatów do walki z Azjatami.

# „DLA KAŻDEGO COŚ PRZYKREGO"

**Henryk Sienkiewicz powiedział był kiedyś, że lubi książki, które się lekko czytają, ale trudno piszą. Zdaje się, że dziś sytuacja przedstawia się odwrotnie: książki się lekko piszą, a trudno czytają. Nikt nie ceni myśli jasno wyłożonej, w cenie jest myśl zawiła, wypowiedziana w sposób pogmatwany. Dopiero taka myśl zyskuje na głębi, chociaż bardzo często wcale jej nie posiada. Autorzy piszą „jak leci", styl ma być niby to zamierzenie niedbały, a jest niedbały naprawdę, gdyż niejeden z piszących inaczej po prostu nie potrafi.**

**Kiedy się więc pojawi książka napisana jasno i nie płytko, mądrze i z fajerem, cieszymy się nią jak człowiek, który po dniach spiekoty znalazł się nagle w cienistej oazie. Taką książką (przynajmniej dla piszącego te słowa) jest zbiór szkiców literackich Artura Sandauera „Dla każdego coś przykrego". Julian Przyboś wyraził obawę, iż książka ta może zostać przez krytyków pominięta jako, że mówi im i o nich rzeczy przykre. Mogą być i inne przyczyny pominięcia przez krytykę publikacji Sandauera. Oto Sandauer przystępuje do walki z otwartą przyłbicą, mówi otwarcie to, co myśli, czyli mówi prawdę. A prawda — jak wiadomo — jest niewygodna, ludzie jej nie lubią, zwłaszcza jeśli to prawda o nich i ich działalności. Sandauer występuje przeciwko krytyce towarzyskiej, koleżeńskiej, opowiada się za krytyką pod każdym względem niezależną.**

**Rzadko się zdarza widzieć krytyka, wykładającego tak klarownie i komunikatywnie swoje analizy i osądy. W krytyce każdej epoki wytwarza się zazwyczaj pewien żargon, język specjalny, zrozumiały w pełni jedynie dla wąskiego kręgu zainteresowanych profesjonalistów. Zjawisku temu towarzyszy przekonanie, że krytyk, piszący zrozumiale i po ludzku, obniża poziom naukowych dociekań, staje się pożałowania godnym popularyzatorem, zabiegającym o to, aby go wszyscy czytali. Z książek, wydanych ostatnio, znam jeszcze jedną pracę krytyka, który — podobnie jak Sandauer — dba o jasny tok swojej wypowiedzi. Jest nim Janusz Wilhelmi i jego zbiór artykułów „Mój gust wiktoriański". I chociaż, oczywiście, różnią się obaj zarówno podejściem do zagadnień literatury jak i tzw. temperamentem pisarskim, wspólna im jest troska o kontakt z odbiorcą, do którego się zwracają.**

**Artur Sandauer nie jest w środowisku literackim lubiany. Gdym kiedyś w gronie kolegów warszawskich pochwalił jakiś jego artykuł, miano mi to bardzo za złe. Można by, ujmując rzecz paradoksalnie, powiedzieć, iż krytyka nie powinno się lubić, krytyka powinno się czytać. Karola Irzykowskiego także nie lubiano, nic to przecież nie zaszkodziło jego pismom. Przeciwnie: pomogło im. Spór, jaki prowadzono z nim, wyostrzał jeszcze jego pióro. Boję się jednak, że w naszej krytyce nikt nie stanie w szranki z A. Sandauerem. Ale że wszyscy go czytają — nie ulega wątpliwości. „Dla każdego coś przykrego" rozchodzi się znakomicie, w wielu księgarniach rzeczy tej już się nie dostanie. Zawarte w tomie Sandauera artykuły i polemiki czytaliśmy wcześniej, na łamach czasopism, a przecież na nowo podejmujemy ich lekturę, prowokującą do rewizji ustalonych ocen i wartości. Nie zawsze i nie wszędzie można się z sądami Sandauera zgodzić. Wydaje mi się, na przykład, że nazbyt surowo a zatem krzywdząco potraktował krytyk twórczość Adolfa Rudnickiego. Nie udał się Rudnickiemu dramat „Manfred", to prawda, ale udało mu się wiele innych rzeczy, a niektóre jego opowiadania wejdą na pewno do antologii najlepszych opowiadań współczesnych.**

**Dobry krytyk ma to do siebie, że nawet jego oceny mylne czy niesprawiedliwe zawierają w sobie jakieś ogólne jądro prawdy, niepokoją umysł, nie pozwalając mu pozostać przy raz ustalonych ocenach. Takim właśnie źródłem podniety i niepokoju intelektualnego są szkice Artura Sandauera, zawarte w tomie „Dla każdego coś przykrego". Jeśli nie wierzycie — przeczytajcie!**

Jan Koprowski

# Problemy kultury masowej w Łodzi

Dalszy ciąg ze str. 1

cyk". Wspólnie go odremontowały, wspólnie utrzymują etaty pracowników, ich rady zakładowe wspólnie świadczą na jego działalność. A przecież z usług tej placówki kulturalnej korzystają mieszkańcy śródmieścia, bez względu na to czy należą do Związku Zawodowego Włókniarzy. Spotykają się tutaj handlowcy, metalowcy, chemicy i włókniarze.

Taki jest sens tworzenia tego rodzaju placówek, i o takiej właśnie koordynacji myśleli delegaci na Kongres, rzucając hasło tworzenia ośrodków kulturalno-oświatowych, działających poza zasięgiem macierzystych zakładów pracy. Mamy osiemnaście takich placówek na terenie kraju, a na ich działalność świadczy ponad 120 zakładów pracy.

W Łodzi działają takie placówki przy ul. ul. Przędzalnianej, Siedleckiej i M. Buczka, którymi opiekują się, jako zakłady wiodące: ZPB im. Obrońców Pokoju. ZPW im. Niedzielskiego i ZPW im. Łukasińskiego. Rzecz jasna, przy każdym zakładzie wiodącym są współudziałowcy zakładów włókienniczych, najbliżej leżących przy danej placówce kulturalnej.

Na terenie województwa takie placówki działają w Zgierzu, w Tomaszowie Mazowieckim, w Aleksandrowie, Konstantynowie i w innych miejscowościach.

Jesteśmy zdania, że ten kierunek działania jest słuszny i pożyteczny. Co więcej, uważamy, iż takie placówki powinny też tworzyć inne związki, i ich zakłady pracy wszędzie tam, gdzie daje się odczuć ich brak. Byłoby to realizacją jednej z tez, wysuniętych na Kongresie.

**ODGŁOSY: Jak nam wiadomo, Ośrodek Badawczy Związku prowadzi, między innymi, naukową analizę pracy kulturalno-oświatowej wśród włókniarzy oraz jej oddziaływania w środowisku robotniczym. Jakie spostrzeżenia i wnioski ma Ośrodek w tym przedmiocie?**

**J. MARCZAK:** Istotnie. Prowadzimy takie badania naukowe nad niektórymi zagadnieniami pracy kulturalno-oświatowej. Materiał jest dość obszerny. Zaledwie zarysuję niektóre wyniki tych badań. Otóż na problemy te patrzyliśmy z różnych punktów widzenia. Przede wszystkim zwróciliśmy uwagę na rodzaj i rolę zainteresowań kulturalnych młodych robotników w czasie wolnym od pracy. Okazało się, iż sprawy kultury zajmują w tak zwanej strukturze czasu wolnego młodych robotników stosunkowo dużo miejsca. Takie potrzeby, jak czytelnictwo książek i czasopism, kino, teatr, radio, telewizja, samokształcenie i zajęcia z zamiłowania, zajmują im ponad 60 procent czasu wolnego od pracy.

**ODGŁOSY: Jakie zainteresowania kulturalne wysuwają się na czoło?**

**J. MARCZAK:** Czytelnicze. I to zarówno wśród robotników przyuczonych, jak i absolwentów szkół przyzakładowych.

**ODGŁOSY: Jakiego rodzaju książki interesują młodzież robotniczą?**

**J. MARCZAK:** Występują tu pewne różnice, w zależności od płci. Wśród dziewcząt dominuje zainteresowanie książką obyczajową, dalej, książką popularnie zwaną „romansem", więc dzieje jakiejś miłości. Mocną pozycję zajmują książki podróżnicze i egzotyczne, poradniki życia rodzinnego, wychowania dzieci, wydawnictwa medyczne. Zgoła inne zainteresowania czytelnicze ma młodzież męska. Tutaj na czoło wysuwa się powieść historyczna, podróżnicza, przygodowa, batalistyczna oraz literatura pamiętnikarska z dziejów II wojny światowej i walk partyzanckich.

**ODGŁOSY: Jaką liczbą bibliotek dysponuje Związek Włókniarzy w skali kraju i ilu one mają abonentów?**

**K. GRABOWSKI:** Mamy 264 biblioteki związkowe w zakładach pracy, a ich księgozbiór, łącznie, wynosi ponad 900 tysięcy tomów. Z wymienionej liczby bibliotek korzysta efektywnie ponad 120 tysięcy robotników z zakładów włókienniczych, co stanowi ponad 20 procent ogółu zatrudnionych. Dodam jeszcze, iż 52 biblioteki mają księgozbiory, sięgające ponad 5 tysięcy tomów każda.

**ODGŁOSY: A w Łodzi?**

**J. MARCZAK:** W mieście mamy 53 biblioteki związkowe z 220 tysiącami tomów. Liczba czytelników stale wzrasta. Na przykład w roku 1963 z usług wspomnianych 53 bibliotek korzystało 24 tysiące członków naszego Związku, a w roku 1965 — już 29 tysięcy. Stanowi to około 21 procent ogółu naszych związkowców w Łodzi. Inaczej mówiąc, stałym abonentem biblioteki związkowej w zakładzie pracy jest co piąty pracownik. Nie licząc oczywiście tych, którzy korzystają z bibliotek miejskich.

**ODGŁOSY: Jaka jest struktura socjalna czytelników?**

**J. MARCZAK:** Robotnicy stanowią 54,2 procent ogółu czytelników, pracownicy umysłowi — 20,4 procent, młodzi robotnicy, w wieku do 21 lat — 22,1 procent, 3,3 procent czytelników — to nasi renciści.

**ODGŁOSY: Jak już jesteśmy przy cyfrach, poprosiłbym o jeszcze jedną informację: jak kształtuje się tendencja czytelnictwa książek?**

**J. MARCZAK:** Stwierdzamy stały wzrost wypożyczeń książek we wszystkich grupach czytelników. I tak na przykład: w roku 1957 jeden czytelnik wypożyczał książki 8 razy w ciągu roku, w 1964 — 18,2 raza, biorąc statystycznie, a w 1965 — 18,8 raza w ciągu roku.

Biblioteki są bardzo ważnym instrumentem oddziaływania kulturalnego w środowisku robotniczym. One to wypracowują najprzeróżniejsze formy popularyzacji czytelnictwa, jak na przykład konkursy czytelnicze, spotkania z autorami książek, które cieszą się dużą popularnością, przy wielu bibliotekach powstają koła miłośników książki. Obecnie wszystkie biblioteki związkowe podejmują szereg inicjatyw, pragnąc upowszechnić książkę współczesną.

**ODGŁOSY: Książki — więc pisarze. Jak układa się współpraca Waszego Związku z łódzkim środowiskiem literatów?**

*Fot. E. Hartwig*

**K. GRABOWSKI:** O współpracy Związków Zawodowych z literatami dużo się mówiło na komisjach kongresowych. Zwłaszcza w komisjach V i IX, gdzie kwestię tę podnieśli plastycy i literaci, mówiąc o potrzebie rozszerzenia tej współpracy.

**ODGŁOSY: Jak układa się ona w Łodzi?**

**K. GRABOWSKI:** Już od szeregu lat Związek Zawodowy Literatów Oddział w Łodzi i Związek Włókniarzy pozostają w żywym kontakcie. Łódzcy literaci utrzymują stałe patronaty nad większymi bibliotekami związkowymi tak w Łodzi, jak i w województwie. Ze swej strony Związek Włókniarzy wspomaga materialnie działalność Związku Literatów. Niezależnie od tego nasz Związek ufundował dwa stypendia. Jedno pobierał młody literat łódzki — Konrad Frejdlich, drugie literat średniego pokolenia — Tadeusz Papier, który już od wielu lat jest związany z ruchem patronackim i w swej twórczości literackiej nie raz porusza problematykę środowisk włókniarskich. Spodziewamy się, że rychło i pan Frejdlich napisze książkę, czerpiąc do niej treści z robotniczych środowisk włókniarskich.

Współpracę z łódzkimi pisarzami uważamy za bardzo cenną i pożyteczną dla obu stron, i będziemy ją kontynuować.

Od kilku lat współpracujemy również bardzo blisko z łódzkim środowiskiem plastyków. Wspólnie sfinalizowaliśmy szereg prac, naszym zdaniem, bardzo pożytecznych, jak na przykład w ubiegłym roku ciekawy konkurs pod nazwą „Człowiek współczesny", albo pierwszą w Polsce Giełdę prac plastycznych. Zakupujemy też co roku pewną ilość dzieł łódzkich plastyków i malarzy. Wspomnę jeszcze, iż Międzyzakładowy Dom Kultury przy ul. Piotrkowskiej 262 oddał pomieszczenia do użytku młodych plastyków łódzkich, stwarzając im w ten sposób warunki do pracy twórczej. Tam też narodziła się znana dziś grupa młodych twórców „Galeria 20". Tę więź z prężnym środowiskiem łódzkich plastyków będziemy stale zacieśniać.

W dalszej perspektywie mamy uruchomienie własnej galerii malarstwa i plastyki, również w MZDK przy ul. Piotrkowskiej 262, która by kolekcjonowała prace, obrazujące życie włókniarzy.

**ODGŁOSY: Jakie formy pracy stosujecie, upowszechniając wiedzę wśród robotników?**

**J. MARCZAK:** Staramy się o możliwie szeroki wachlarz tych form. Nasze placówki kulturalno-oświatowe rozwijają szeroką akcję odczytową, organizują kursy, tworzą Koła Zainteresowań. Dostrzegliśmy, że ostatnio szczególnym zainteresowaniem cieszą się cykle odczytów, które popularyzują jakieś jedno zagadnienie, na przykład higienę osobistą, zapobieganie chorobom, kulturę życia codziennego, wybrane zagadnienia z literatury pięknej, problemy kultury innych krajów, opanowanie Kosmosu przez człowieka. Podczas odczytów uruchamiamy środki propagandy wizualnej — przezrocza i film, nieraz plansze. Nasze placówki podejmują starania, żeby skupiać uczestników tych odczytów w kółkach zainteresowań, w których łatwiej i szybciej przyswajają sobie wiadomości z zakresu nauk humanistycznych, przyrodniczych i technicznych. Właśnie poprzez kółka zainteresowań przygotowujemy ludzi do pracy samokształceniowej. Jest to praca ciekawa, ale bardzo trudna i odpowiedzialna. Pragnę jeszcze mocno podkreślić, że w różnych formach pracy oświatowej bierze aktywny udział około 15—20 procent młodych robotników, w wieku do lat 21.

**ODGŁOSY: Jak pracują młodzieżowe zespoły artystyczne?**

**K. GRABOWSKI:** Zacznijmy od tego, że amatorski ruch artystyczny jest dziedziną bardzo atrakcyjną dla młodych robotników i jego rozwój jest bardzo burzliwy. W latach pięćdziesiątych szóstych poddano ten ruch niesłusznej krytyce, podważając sens jego istnienia. W wyniku tej batalii pozostało w całym kraju, w sumie, około stu zespołów amatorskich. Dziś Związek ma 625 zespołów, które skupiają wokół siebie około 16 tysięcy osób spośród młodzieży robotniczej. I tu podkreślam — czynnie zaangażowanej. Ruch ten, na przekór tendencjom likwidatorskim, wniósł duży dorobek do ogólnonarodowej kultury. Na przykład „Harnam" w Łodzi, na przykład teatr z Bielawy, albo „Beskid" z Bielska Białej oraz wiele innych zespołów, które rozsławiły polski folklor, polską kulturę nie tylko w kraju, lecz i poza jego granicami. Tu chodzi nie tylko o pracę instruktorską. Te 16 tysięcy członków amatorskich zespołów artystycznych prowadzi wielką, ważną i pożyteczną działalność kulturalną w zakładach pracy, w swoich środowiskach, oddziałując na dziesiątki tysięcy robotników, aktywizując masy ludzi, zbliżając je do ogólnonarodowych zdobyczy kulturalnych.

Związek Włókniarzy docenia wielką rolę tego ruchu, wyraża pełne uznanie dla wyników jego działania i zapewnia mu warunki pomyślnego rozwoju. Na przykład w tej chwili odbywa się Ogólnopolski Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych, który znajduje się już na etapie przeglądów wojewódzkich. Oceniamy, iż amatorskie zespoły artystyczne z włókniarskich fabryk zaprezentowały wielki i ciekawy dorobek, zarówno te z Łodzi, jak i te z Poznania, Wrocławia czy też z innych ośrodków.

**ODGŁOSY: Istotnie, dokonano wielkiego dzieła. Czy jednak historia tej ogromnej pracy nie pójdzie w zapomnienie?**

**J. MARCZAK:** Nie. Już dziś możemy was poinformować, że Związek przystąpił do opracowania szerokiej monografii form pracy kulturalno-oświatowej i jej dorobku za cały miniony okres. Nawiążemy w niej do bogatych tradycji pracy kulturalnej i oświatowej wśród włókniarzy. Będzie to monografia wszechstronna, obejmie cały okres powojenny, ze szczególnym uwzględnieniem lat ostatnich.

**ODGŁOSY: Kto bierze udział w jej opracowywaniu?**

**J. MARCZAK:** Bardzo szeroki zespół ludzi, a wśród nich pracownicy naukowi Uniwersytetu Łódzkiego, a także działacze związkowi z terenu Łodzi, województwa łódzkiego i innych ośrodków w kraju. Prace są już tak dalece zaawansowane, iż najprawdopodobniej w przyszłym roku będą zakończone.

**ODGŁOSY: Jak Związek Włókniarzy zamierza zrealizować postulaty Kongresu dalszej intensyfikacji działalności kulturalno-oświatowej wśród robotników?**

**K. GRABOWSKI:** W pierwszym rzędzie będziemy się starali otwierać nowe międzyzakładowe, środowiskowe placówki działalności kulturalno-oświatowej. Jesteśmy zdania, iż w ten sposób rozwiążemy również niełatwy problem koordynacji pracy kulturalno-oświatowej, o czym też między innymi mówiono na Kongresie. W zakresie tworzenia nowych ośrodków międzyzakładowych panuje całkowite zrozumienie między Radą Narodową m. Łodzi, Woj. Radą Narodową i Woj. Komisją Związków Zawodowych. Mamy już zakreślone organizacyjne plany uruchomienia nowych tego typu placówek, ewentualnie remontów kapitalnych, czy też adaptacji. Na przykład MZDK na Przędzalnianej i na ul. Buczka zostaną odremontowane, nowa placówka kulturalno-oświatowa tego typu powstanie na Widzewie, z inicjatywy tamtejszej DRN i naszego Zarządu Okręgowego. Takie placówki powinny powstać na Bałutach i w Pabianicach.

Są to plany minimum, na najbliższą przyszłość i mamy nadzieję, iż w ramach koordynacji działania i w warunkach ścisłej współpracy zainteresowanych zrealizujemy nasze zamierzenia. Chcę podkreślić, że również wielką wagę przywiązujemy do działalności placówek zakładowych — otwartych, takich jak: ZDK im. Dzierżyńskiego, ZDK przy ZPB Marchlewskiego, Klub ZPB A. Ludowej, ZPW im. Gwardii Ludowej i ZPB im. Harnama, do których również garnie się szerokie rzesze młodzieży robotniczej.

**ODGŁOSY: Żeby wykonać takie zadania, trzeba mieć odpowiednio przygotowane kadry. Czy Związek jest na to przygotowany?**

**K. GRABOWSKI:** W zasadzie tak. Nasze ośrodki kulturalno-oświatowe dysponują ofiarną, doświadczoną i stosunkowo liczną etatową kadrą pracowników kulturalno-oświatowych. Wielu spośród nich uzupełnia wykształcenie, wielu już uzupełniło. Wraz z powoływaniem do życia nowych placówek, przyjmujemy ludzi mających pełne kwalifikacje zawodowe oraz zamiłowanie do tego rodzaju pracy. Oczywiście zdajemy sobie sprawę, iż wyniki tej pracy są uzależnione od ich umiejętności i fachowego przygotowania. Dlatego to Wojewódzki Ośrodek Metodyczny i Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych organizują stałe kurso-konferencje, będące pewną formą dokształcania etatowej kadry pracowników kulturalno-oświatowych. To w zasadzie zapewnia nam permanentne podnoszenie ich kwalifikacji. Na Kongresie nieraz apelowano by pracownikom kulturalno-oświatowym zapewnić rangę i znaczenie w społeczeństwie. Jest to na pewno słuszne. Z drugiej jednak strony i oni sami powinni dbać o swój autorytet, stwarzać wokół siebie atmosferę szacunku i sympatii.

Chciałbym jeszcze dodać, iż cały dorobek w zakresie upowszechniania kultury i oświaty w środowiskach robotniczych naszego Związku, trudności oraz perspektywy rozwojowe tej działalności będą jednym z głównych problemów V Krajowego Zjazdu Związku Zawodowego Włókniarzy, w lutym 1967 roku.

**ODGŁOSY: Dziękujemy za rozmowę.**

**Rozmawiał: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI**

JAN BĄBIŃSKI.

# Miesiąc w MOSKWIE

**Odtwarzam notatki z miesięcznego pobytu w Moskwie. Robiłem je na ulicy, w parkach, na ulicznej ławce — gdziekolwiek bądź. Spisuję je teraz na gorąco bez retuszu, z małymi tylko skrótami:**

**14. IX.**

Przylatujemy do Moskwy przed północą. Odprawa celna na lotnisku w Szeremietowie. Do celników podchodzi przedstawiciel Związku Dziennikarzy Radzieckich. Wskazuje na nas. Powiada:

— To nasi goście, żurnaliści z Polski.

Starczyło. Celnik czyni zapraszający gest dłonią. Można przechodzić. Żadnych formalności. Żadnej kontroli.

**15. IX.**

Ranek w Moskwie.

Jestem tu po raz pierwszy w życiu. Patrzę, słucham, porównuję. Włóczę się po centrum. Mijają godziny. Koloryt ulicy przypomina Warszawę. Co trzeci przechodzień w ortalionie. Często berety na głowie. Modne obuwie. Mnóstwo kobiet jakby wyjętych z żurnalów mody. Wszędzie pośpiech, gwar, nieustanny szum tysięcy aut. Przed GUM-em grupa wyrostków otacza zwartym kołem „Fiat 1500". Przy kierownicy biały pudel. Szczeka wywijając ogonem. Wyrostki pokładają się ze śmiechu. Potem z uwagą studiują karoserię.

Tyle czytali o fiatach. Niedługo podobne wozy spłyną setkami tysięcy na moskiewskie bulwary. Teraz dominują wołgi. Nie spotkałem taksówki, która by nie była właśnie wołga.

**16. IX.**

Spotkanie oko w oko z Kremlem.

Jakaś szczególność, osobliwość, obcość, także piękno architektury. Wszystkie te gigantyczne hotelowe wieżowce na widnokręgu to nic innego, jak tylko „addycje i multiplikacje" baszt kremlowskich. Kształt ten sam, te same proporcje i ta sama bliżej nieokreślona dziwność. Przez wieki zresztą wygląd Moskwy formował Kreml. Tak jak architekturę Londynu przez wieki formował londyński „Tower", pod który położył kamień sam Wilhelm Zdobywca. Mam jeszcze przed oczami kwadratowy komin bardzo starej fabryki tuż przy London Bridge. Komin zakończono — jak „Tower" — czterema strzelistymi wieżyczkami. Pamiętam jak usta otworzyłem ze zdumienia.

Późnym wieczorem gramolę się na Plac Czerwony jeszcze raz.

Jest jak wymieciony. Żywego ducha. Tylko przed Spasską Bramą w długim szynelu stoi samotny miliciant. Ze świateł reflektorów wyłania się cerkiew Wasyla Błogosławionego. To najwyższy punkt placu. I nagle wydaje mi się, że za łuskowatymi kopułami świątyni, poza którymi niczego już nie widać prócz gwiazd, że za tą cerkwią, która błyszczy fantastyczną orgią kolorów i wygląda jakby ją stawiał ktoś opętany religijną ekstazą, że za nią rozciągają się już tylko bezkresne przestrzenie azjatyckich stepów. Złudzenie jest przytłaczające. Nie mogę nad nim zapanować, chociaż wiem, że to bzdura. Choć wiem, że tam w dole nad brzegiem rzeki ciągną sznury ciężarówek i wznosi się coraz wyżej przepotężny, ultranowoczesny hotel „Rossija".

**17. IX.**

Wykład na Uniwersytecie im. Łomonosowa.

Profesor tytułem wstępu przypomina, że Rosja trzykrotnie w swych dziejach ratowała Europę. Wpierw, przyjmując na siebie straszliwe uderzenie Tatarów. Po wtóre — gromiąc armię Napoleona. I wreszcie — gromiąc Hitlera. Cena jaka zapłacono jest niewyobrażalnie wysoka. Rosja przez 250 lat jęczała pod tatarskim knutem. Rosja stała w miejscu, nawet się cofała, podczas gdy Europa gnała do przodu. Dystans się zwiększał i zwiększał.

Wychodzę na przerwę.

Na korytarzu stoi student. Afrykańczyk. Czarny garnitur. Czarne lakierki. Biała koszula non-iron. Student spokojnie pyka z fajki...

Ekspedientki są bezceremonialne. Są harde, nieprzystępne. Bez cienia uśmiechu na twarzy. Widziałem też jak przed „Nationalem" zamiataczka rugała przechodnia, że jej przeszkadza w pracy. Nikt tu zresztą nie robi wielkich ceregieli, jeśli uzna, że trzeba kogoś solidnie wyrugać. A klienci są potulni. Przyczesani... Wpadam na chwilę do „Mieżdunarodnoj Knigi" przy Gorkiego. Zaraz przy wejściu stoisko NRD. Trzykrotnie większe niż polskie stoisko. Przy polskich książkach kilka osób. Ktoś pyta o Kosidowskiego. Bezskutecznie.

Skok na bulwar przy rzece Moskwie.

Po prawej stronie rzeki dwu—trzypiętrowe domy-pałacyki. Dawne siedziby moskiewskich kupców. Domy wyglądają jak bliźniaki pałaców w dawnym pasażu Meyera w Łodzi. Wszystkie są jakby wierną kopią Izby Rzemieślniczej z ulicy Moniuszki. I poczty z tejże ulicy. A może to Izba jest kopią? Nieco dalej drewniane zabudowania. Reminiscencje Chojen. Jeszcze dalej i wielkie bloki obok drewniaków. Reminiscencje Widzewa. Patrzę wkoło i zastanawiam się — skąd ja to znam?

Dziś oficjalna wycieczka na Kreml.

Oprowadza nas przewodnik z „Syrenką" w klapie. Bez przerwy gada. „Pulimiotczik" jak to określają Rosjanie. Rozpływa się też w uśmiechu... Bracia Czesi, ach... Złota Praga, czeskie piwo, ach... Boże, jakie dobre jest czeskie piwo. Przewodnik bierze nas nie wiadomo dlaczego, za Czechów. Nie protestujemy, choć dziewczęta z trudem powstrzymują chichot. Oto wspaniałe mury Kremla, proszę popatrzeć, sięgają 20 metrów wysokości. Są nie do zdobycia. Raz tylko Polacy je zdobyli. Ale podstępem. Także Napoleon. Właśnie generał de Gaulle podczas swego pobytu na Kremlu zażartował — Na tym miejscu przebywali tylko dwaj Francuzi — Napoleon i ja... Przewodnik zatrzymuje nas przed Baszta Troicka... Polacy poddali się. Zmusił ich do tego głód. Wjechali tą właśnie bramą. Przodem jechała Mniszchówna. Stoję w zadumie.

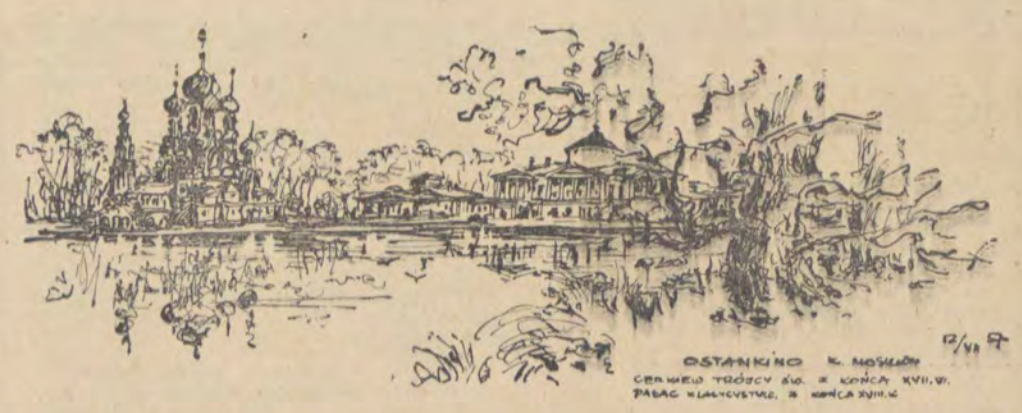


*Rys. W. Sniadecki*

Ktoś pyta przewodnika, skąd wzięła się u niego „Syrenka" na piersiach.

Przewodnik odpowiada, że to pamiątka, bo wyzwalał Warszawę. Wszyscy zaczynają się głośno śmiać. Przewodnik teraz dopiero spostrzega swoją pomyłkę. Głośno nam wtóruje.

**18. IX.**

Portier z Jarosławskiej Gostinicy już trzeci dzień wita mnie uroczystym — Gut Morgen...

Jedziemy do Zagorska.

Tam właśnie, w Troickim Soborze, mieści się siedziba „świątjeszego patriarcha moskowskogo i wsjej Rusi Aleksieja...". Po obu stronach dość wyboistej szosy drewniane zabudowania kołchozów. Większość budynków mieszkalnych chyba jeszcze z carskich czasów. Wszystkie jednak odnowione (świeżo odmalowane). Rzeźbione w drzewie okna, drzwi, szczyty, jakieś ganeczki. Kunsztowne to. Domy są piękne. Można je skojarzyć, na zasadzie odległej analogii, z domami zakopiańskich górali. Nie mogę się powstrzymać od uczucia szacunku dla mistrzostwa podmoskiewskich artystów. To byli i są artyści. Po dziś dzień domy na wsi buduje się po większej części, jak przed wiekami, z drewna. Z grubo ociosanych, krągłych pni, stawianych na wzrąb. Mocne, przestronne, na pewno wygodne.

Zagorsk ma w sobie coś z Częstochowy.

Pielgrzymi. Wszyscy spieszą do złoconego grobu świętego Wasyla Radomirskiego. Przed grobem tłum czołgających się na kleczkach wiejskich bab. W jednej ze świątyń (wszystkie otoczone są wysokim, obronnym murem), w cerkwi Smoleńskiej Bogomateri odprawiana jest msza. Stoję na samym przodzie zbitego tłumu o 10 kroków od popa. Śpiewa chór. Boże, cóż to za wspaniałe głosy. Odpowiada pop basem, jakiego by się nie powstydził zawodowy śpiewak operowy. Stojąca obok mnie chłopka w długiej chuście przymyka oczy. Widać, że rozkoszuje się śpiewem. Wielkie misterium. Wciąż słyszę w uszach chóralne tony pełne majestatu... Gospodi pomiłuj...

Jedna ze studentek Wydziału Dziennikarskiego błaga nas, byśmy jej przysłali z Polski album Linkego. Ba, żeby to było takie proste.

**20. IX.**

Muzeum im. Puszkina. Rembrandt, Rubens, Van Dyck, Degàs, Manet, Picasso, Gauguin. Jest też Van Gogh. Kolor, rysunek, wszystko z jego płócien aż dyszy słońcem, południem, dzika, nieposkromiona natura. Impresjonistyczna zasada stosowania „barw słonecznego widma" święci tu swój pełny triumf.

**21. IX.**

Odwiedziny w „Prawdzie".

Krótka konferencja. Padają pytania. Odpowiedzi: Za granicą sprzedaje się 75 tysięcy egzemplarzy „Prawdy". Czynione są starania, by zwiększyć objętość gazety. Niestety, brak papieru stoi temu na przeszkodzie. W „Prawdzie" pracuje 230 osób. Żurnaliści zarabiają 200—250 rubli miesięcznie, niektórzy zarabiają więcej.

Po południu wypad pod Moskwę do wsi Kołomienskoje.

Zachowała się tu na wzgórzu cerkiew z 1532 roku. Bardzo prosta kompozycja, żadnych ozdóbek, wielka czystość linii. Późniejsze cerkwie są już naznaczone grzechem bizantyńskiego przepychu. W muzeum szczątki rzeźb i portyków, także kolumn po dawnym pałacu — letniej rezydencji carów — zbudowanej całkowicie z drzewa. To co pozostało jest dostatecznie niezwykłe. Jeszcze raz bierze podziw dla anonimowych mistrzów roboty w drzewie. Katarzyna II poleciła rezydencję rozebrać. Katarzyna, Niemka z pochodzenia, lubowała się w cegle, kamieniu i marmurze. Oglądam drewnianą strażnicę przeniesioną tu wprost z dalekiej Syberii. Drewniane mury, drewniane okienka, drewniana baszta. Takie właśnie proste i mocne strażnice znaczyły kolejny etap w podboju i kolonizacji Syberii przez Jermaka.

Stoję we wnęce masywnych murów cerkwi „Wozniesienie".

Tu, dokładnie w tym miejscu, zatrzymywał się Iwan Groźny przed każdym polowaniem. Z tej wnęki wypatrywał zwierza w bezbrzeżnych borach po drugiej stronie Moskwy. — W dole toczy swe szerokie wody rzeka. Za nią łąki, za nimi aż po daleki horyzont widać już tylko kominy gigantycznych kompleksów przemysłowych. Dopiero za tymi kominami majaczy teraz ciemny, zbity las. Hen, w dole na brzegu rzeki, wycieczka szkolna. Chłopcy grają w piłkę. Dziewczyny zbierają polne kwiatki...

**22. IX.**

Na wykładzie o literaturze rosyjskiej profesor wyraża ubolewanie, że Puszkin pisał wiersze pełne miłości do cara. Ubolewał, że Puszkin pisał godne potępienia wiersze o polskim powstaniu w 1831 roku. Rosję zrehabilitował Lermontow. To właśnie Lermontow sławił polskie powstanie. Na kolejnym wykładzie powiadomiono nas, że mnisi z Zagorska mają dość dziennikarzy. Mają też dość turystów. Dlatego postanowili w najkrótszym czasie przenieść się do klasztoru w Sałowkach koło Archangielska, żeby wreszcie mieć spokój.

**23. IX.**

Zrobiłem wypad na tak zwany jugo-zapad Moskwy.

Nowe budynki przy Lenińskim Prospekcie są lekkie, zwarte, harmonijne, kolorowe. Wszystkie z prefabrykatów. Między blokami puste przestrzenie. Usiane resztkami pustaków, desek, kamieni, żelastwa. Tu, na dalekich peryferiach rozgrywa się ostatni dramat dawnej, chłopskiej Moskwy. Drewniaki są burzone. Ziemię równają buldożery. Widowisko jest pasjonujące. Domów wciąż przybywa. Moskwa ucieka w dal. Ucieka tak szybko, że dojazd do pracy, mimo metro, kolei, autobusów, mimo gęstej sieci trolejbusów, nawet tramwajów — trwa niekiedy ponad godzinę. Ile się przy tym trzeba natłoczyć, naszturchać, nastać. Wracam metrem. Tłok. Prawie wszyscy czytają. Nie tylko gazety, jak w Londynie, ale też książki. Czasu jest dużo. Sam tylko wyjazd na powierzchnię po ruchomych schodach stacji WDNH — Wystawy Rolniczej — trwa pełne 2 minuty. Mierzyłem z zegarkiem w ręku.

Na uniwersytecie przeglądam gazetkę ścienną studentów Wydziału Dziennikarskiego.

Krótkie odpowiedzi na ankietę:

— To dla mnie wielki zaszczyt, że mogę tutaj studiować...

— To najlepszy Wydział Dziennikarski na całym świecie...

— Studiuje tu młodzież z 17 krajów. Inni marzą o tym, żeby tu studiować...

Słyszę żart:

— Słuchaj, co to jest słup telegraficzny?

Milczenie.

— To dobrze „odredaktirowany" artykuł wstępny.

# MIGAWKI Z DREZNA

## Dalszy ciąg ze str. 1

Przypominamy sobie nasza historię i to co z podręczników szkolnych wiemy o Sasach. Pisano o nich bez sympatii lub z pobłażliwym lekceważeniem. „Za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa". A jednak unia z Saksonią, krajem sprawnie administrowanym, o silnych ośrodkach miejskich, rozwinięciem przemyśle manufakturowym i intelektualnej, umysłowej kulturze protestanckiej, otwierała duże perspektywy i korzyści ekonomiczne. Ożywiły się więc stosunki handlowe, skorzystała też Warszawa w rozpoczynającym się wtedy żywo urbanistycznym swym rozwoju. A nasi uczeni wyrębujący drogę kulturze Oświecenia, Mitzler de Coloff, czy Maciej Dogiel to przecież także przybysze z Saksonii.

Wraz ze śmiercią Augusta III unia personalna urwała się, ale część społeczeństwa polskiego przywiązana do saskiej rodziny upominała się usilnie o jej powrót na tron Polski. Nastroje te wykorzystała Konfederacja Barska dążąca do detronizacji Stanisława Augusta. Wreszcie sama Konstytucja 3-Maja do tej koncepcji wróciła, ogłaszając tron dziedziczny w domu saskim, a potem — jak pamiętamy Napoleon nawiązał do tej tradycji mianując Fryderyka Augusta księciem warszawskim.

Saksonia była też ponad stulecie terenem polskiego wychodźstwa politycznego.

Do Drezna i Lipska pociągnęli twórcy Konstytucji 3 Maja — Ignacy Potocki, Hugo Kołłątaj, Scipion Piattoli, redaktorzy patriotycznej Gazety Narodowej i Obcej, byli oficerowie, gromiciele Targowiczan. Nie ustali tu w walce i w pracy dla sprawy wolności.

Ściągnęli też na siebie uwagę zaborczych rządów; które domagały się od księcia saskiego wydalenia ich z granic Saksonii. Szukam śladów tej emigracyjnej roboty w zbiorach Archiwum Państwowego. Potężny gmach na Archiv-strasse pod numerem 14, kryje nieskończone dla historyka możliwości. Ogromne księgi inwentarzy rejestrują dokumenty i akta dawnej Tajnej Kancelarii saskiej. Pogrążam się w labiryncie sygnatur, skrótowych haseł, odsyłaczy. Na stole w pracowni naukowej gromadzi się przede mną pokaźna ilość opasłych tomów korespondencji dyplomatycznej, doniesień policyjnych, zarządzeń kancelarii książęcej. Na interwencję posła pruskiego i rosyjskiego żądającą wydalenia naszych patriotów, książę saski z godnością, odpowiedział odmownie, tłumacząc, że Saksonia nie cofnie raz danych zobowiązań a prawo azylu politycznego przysługuje przybyszom z Polski. Nie chcąc jednak urazić potężnych interwentów wydał policji polecenie inwigilowania przybywających Polaków. Pod okiem więc policji na ziemi saskiej rodziły się przygotowania do Insurekcji Kościuszkowskiej. Na wieść o postępach powstania Ignacy Potocki i Kołłątaj wyruszyli do kraju witani entuzjastycznie przez ulice warszawską i tego samego jeszcze dnia udzielili audiencji akredytowanemu w Warszawie posłowi saskiemu.

Pozostali w Dreźnie i Lipsku Polacy stanowić mieli punkt przerzutu informacji i pomost dla współpracy Insurekcji z rewolucyjną Francją.

I znów wraz z upadkiem powstania władze zaborcze — w trosce o wytępienie „zarazy jakobińskiej" żądają od Saksonii wydalenia lub aresztowania przebywających tam, rozbitków Insurekcji i nowych spiskowców.

Tym razem nie w stronę Polski rozdartej przez trzech zaborców ale w kierunku walczącej z nimi rewolucyjnej Francji zwracały się ich nadzieje. Rosja i Prusy ostrzegały Saksonię, domagały się natychmiastowego uwięzienia Kościuszki gdyby ten stanął w tym kraju. Raporty saskiej policji wymieniają nazwiska wielu Polaków, niedawno tam osiadłych, przeważnie studentów. Pozory legalności były zachowane. Młody człowiek udawał się na wybrany kierunek studiów, przeważnie medyczny, po czym pryskał do legionów.

XIX wiek to nowy rozdział sasko-polskiej przyjaźni. Na prawym brzegu Łaby wśród ogrodów, wytwornych willi i skromniejszych domków znajduje się dom J. I. Kraszewskiego, obecnie muzeum jemu poświęcone. W ogrodzie kwitną jesienne kwiaty, jabłonka ugina się pod ciężarem dojrzewających owoców, kot wygrzewa się na słońcu. Tak było i sto lat temu, gdy mieszkał tu i tworzył nasz wielki pisarz, rozkochany w Dreźnie, miejscu, w którym spędził tułacze swe lata (1863—1883).

Jakże piękny opis Drezna, czy raczej przewodnik po mieście dla polskiego turysty opracowała Klementyna z Tańskich Hoffmanowa. Życie jej i losy jej rodziny związane były silnie i trwale z tym miastem. (Karol Boromeusz Hoffman, historyk i pisarz polityczny, mąż pisarki zmarł w Dreźnie w 1875 i tam został pochowany). Wędrując po śladach przeszłości udaję się na cmentarz katolicki. Ongiś była to osobna osada Friedriechstadt, dziś jest to potężna dzielnica fabryczna i kolejowa. Turyści tu nie zaglądają, nie wabią ich szare ulice i jednostajne domy. Mur cmentarny przylega ściśle do fabrycznego. Od ulicy mały barokowy kościółek, naprzeciw szpital ulokowany w pałacowej rezydencji ministra saskiego dworu. Cmentarną ciszę i wieczny sen zmarłych zakłóca rytmiczny łoskot pobliskiej maszyny fabrycznej.

Na cmentarzu niemal pusto. Jedna tylko postać w czerni tkwi nieruchomo nad świeżą mogiłą. Na polskich grobach żywe kwiaty nie

BOGDA MADEJ

# „WÓLCZANKA"

**Do „Wólczanki" w Łasku łatwo trafić, każdy wskaże drogę. Jest to przecież jedyny zakład odzieżowy w tym małym miasteczku; zakład, który powstał właściwie na społeczne zamówienie — trzeba było dać możliwość zarobku wielu kobietom i z samego miasta, i z okolic. A zarobek nie jest mały. Najlepiej świadczy o tym fakt, że płace „Wólczanki" stanowią dwadzieścia procent płac wszystkich przedsiębiorstw na terenie całego powiatu.**

Czas bliżej przedstawić przedmiot rozważań:

Zjednoczone Zakłady Przemysłu Odzieżowego „Wólczanka", data urodzin — październik 1964, otwarcie oficjalne — styczeń 1965, załoga — około 720 osób, z czego 90 proc. to kobiety. Produkcja? Mężczyźni wiedzą, że jeśli „Wólczanka", to nic innego jak koszule.

„Wólczanka" jest młoda, powołano ją do życia na terenie dalekim od jakichkolwiek tradycji przemysłowych. Większość kobiet z dzisiejszej załogi, a dokładnie 576, jeszcze nie tak dawno, w odpowiedniej rubryce dowodu osobistego miała wpisane: „bez zawodu". I tak oto, obok problemów produkcyjnych typowych dla każdego rozwijającego się zakładu, odbywał się tu również proces powstawania klasy robotniczej.

1.

Gdy w październiku 1964 roku rozpoczęto szkolenie robotnic, budowa zakładu była jeszcze w pełnym toku. Kobiety uczyły się szyć w nie ogrzewanych pomieszczeniach, nie wszędzie były jeszcze dachy, ale, rzecz charakterystyczna — nikt nie zachorował, choć warunki pracy były opłakane. W styczniu zakład oficjalnie przekazano w ręce odbiorców, co bynajmniej nie świadczy o tym, że wszystko było w najidealniejszym porządku. Nawiasem mówiąc, do dzisiejszego dnia nieszczelne okna przepuszczają wodę, o czym osobiście mogłam się przekonać. Ale nieszczelne okna nie są jeszcze złem największym. Do dziś nie uruchomiono oczyszczalni ścieków; teczka z korespondencją w tej sprawie między „Wólczanką" a zgierskim Przedsiębiorstwem Budowlanym nabrała pokaźnych rozmiarów, interesował się tym i Komitet Powiatowy partii, i władze wojewódzkie, a tymczasem całe urządzenie oczyszczalni, jeszcze nie używane, już trzeba będzie wymienić. I tak marnują się pieniądze, denerwują się ludzie, a budowlani ze Zgierza wciąż udają, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Trudno się dziwić kierownictwu zakładów, że mówiąc o tych sprawach jest rozgoryczone. Ma do tego prawo, tym bardziej, że większość kłopotów musi rozwiązywać samo. Ot, chociażby sprawa oświetlenia. Teren zakładu oddalony jest o kilkaset metrów od głównej „szoso-ulicy", więc trzeba było drogę wiodącą do niej przystosować do codziennej, wieczornej wędrówki pracownic. I jak to nieraz bywa, właściwa instytucja zaczęła załatwiać tę prostą sprawę od głębokich medytacji; zamiast wkopać słupy i oświetlić wreszcie drogę wiodącą do fabryki, Zakład Energetyczny rozpatrywał różne projekty, dyskutował, rozważał... A latarni jak nie było, tak nie było. Kilkadziesiąt metrów od fabrycznych budynków znajduje się cmentarz. Sąsiedztwo nie najprzyjemniejsze, bo obok „normalnych historii z duchami", coraz częściej wynikały awantury, wywoływane przez tutejszych chuliganów. I nie wiadomo, jak długo by to trwało, gdyby dyrekcja sama, na własną rękę nie oświetliła przynajmniej części drogi. Dyrektor zakładów, opowiadając o tym, zastanawia się, co to będzie, gdy odpowiednie czynniki znajdą odpowiedni paragraf i dojdą do wniosku, że samodzielne zakładanie oświetlenia jest wykroczeniem przeciwko przepisom... itd. itd. Całe szczęście, iż w całej tej historii ktoś dostrzegł człowieka, dziwić się tylko należy, że nie dostrzegła go instytucja najbardziej kompetentna, czyli Zakłady Energetyczne.

2.

Myliłby się, kto by sądził, że to kolejny wspólnych zmartwień dyrekcji i pracowników. Tuż przed wejściem do zakładu, pod długim dachem, znajduje się rowerowy garaż. Rowerów jest dużo, stoją ciasno przytulone w długich rzędach, obok nich kilka motocykli. I tu znów nowa sprawa — komunikacja.

Z przeszło 700 zatrudnionych osób, mniej więcej tylko połowa jest z samego Łasku. Reszta dojeżdża z Kolumny, Dobronia, Zelowa i innych okolicznych miejscowości. Nie wszyscy mają rowery; część kobiet czeka więc na drodze na okazję dojazdu do pracy. Paskudna rzecz taki przymusowy autostop, zwłaszcza na jesieni, czy w zimie! Kobiety pracujące na drugiej zmianie często wracają do domu około północy. A przecież wydaje się, że można by połączyć np. Łask i Kolumnę, która traktuje się jak przedmieście miasta, dodatkowym autobusem dla robotników zatrudnionych w „Wólczance". Ale na przeszkodzie stoi tu przepis, który powiada, że w miastach liczących poniżej 20 tys. mieszkańców, a Łask ma ich 7 tys., nie można uruchomić tzw. komunikacji miejskiej. Można by wprawdzie sporządzić umowę z PKS, ale tu z kolei zakład musiałby zbyt wiele dopłacać. Jedyne wyjście z tej sytuacji dyrekcja zakładów widzi w zakupieniu jakiegoś starego samochodu i zorganizowaniu przewozu pracowników we własnym zakresie. Oczywiście trzeba będzie jeszcze trochę poczekać. Na razie poczciwy rower jest tu podstawowym środkiem lokomocji.

3.

Przybysza z zewnątrz uderza przede wszystkim dużo wolnej przestrzeni, estetyczne wnętrze zakładu, niezwykły porządek, a także kwiaty i mały wodotrysk na starannie utrzymanym przyfabrycznym skwerze. Jest tu piękna jadalnia, w której mieści się kiosk „Ruchu", jest sala wykładowa dla 42 uczennic z Zasadniczej Szkoły, są wydzielone pokoje lekarskie, są natryski, umywalki w szatni, ba, postarano się nawet o fryzjera, a obecnie przygotowuje się kiosk gospodarczy, w którym będzie można zaopatrzyć się w podstawowe artykuły żywnościowe. Rozpatruje się też możliwość zrealizowania postulatów kobiet, które marzą o własnym żłobku i przedszkolu. Kierownictwo zakładu zdaje sobie sprawę, że produkcja w dużym stopniu zależy od samopoczucia robotnika, a tym więcej, jeśli jest nim kobieta, znacznie silniej reagująca na wszelkie bodźce zewnętrzne.

Niejeden duży łódzki zakład mógłby pozazdrościć kobietom z „Wólczanki" takiego wnętrza i takich warunków pracy. I wzorowa czystość zakładu nie dziwiłaby specjalnie, wszak to prawie „babska" fabryka. Ale... Rzecz tu w tym, że ta nienaganna schludność nie wynika jeszcze z wewnętrznej potrzeby wszystkich zatrudnionych tu kobiet, lecz — jeśli można tak powiedzieć — z bodźców administracyjnych kierownictwa zakładów. Posunięcia konieczne, albowiem i umywalki były tu zapełnione ogryzkami od owoców, i pokoje higieniczne zaniedbane i bardzo brudne, i napisy w ubikacjach, które swoją wulgarnością przechodzą wszelkie wyobrażenia o kobiecych możliwościach posługiwania się tzw. „mową wiązaną". Trudny element? Jeszcze surowy? Tak, to prawda. Ale od kobiet, bez względu na miejsce urodzenia, należy oczekiwać nie tylko zamiłowania do porządku, ale pewnej, że użyję tu nieco staroświeckiego określenia, skromności obyczajów. Jest to uwaga marginalna i nie ma powodu nad nią rąk załamywać, bowiem, jak wiadomo, proces przyswajania nawyków kulturalnych postępuje wolniej, niż rozwój cywilizacyjny. Niemniej fakt ten należało odnotować.

4.

Skoro już o obyczajach mowa, od razu nasuwa się problem, dyskutowany przy innych okazjach i na innych płaszczyznach. Większość pracownic, które kroją, szyją, prasują i pakują koszule, to młode dziewczyny, 45 proc. załogi liczy sobie 18—21 lat. Duże skupisko tak młodych ludzi pozwala dokładniej zaobserwować pewne przejawy charakterystyczne dla życia współczesnej młodzieży. Myślę o dużej swobodzie seksualnej. I szybko, żeby nie być gołosłowną: właśnie niedługo wraca do pracy z macierzyńskiego urlopu 17-letnia dziewczyna. Nie ma już rodziców, nie ma męża, zarabia około tysiąca złotych, za które od tej pory będzie utrzymywać już dwie osoby — siebie i dziecko. Nie pisałabym o tym, gdyby był to wypadek odosobniony. Niestety, tak nie jest. Młodociane pracownice, częściej niżby się to mogło zdawać, często i po dwa razy w ciągu roku, poddają się zabiegowi przerywania ciąży. Brak uświadomienia? Chyba tak, ale przecież lekarz nie raz próbował zatrzymać dziewczęta na pogawędce poświęconej tematyce seksualnej. Bez rezultatu. Zwykle mówi się, że rozluźnienie obyczajów obserwuje się przede wszystkim w środowiskach młodzieży miejskiej, że na wsiach i w małych miasteczkach działa w znacznie większym stopniu pręgierz kościoła i opinji publicznej. Tymczasem fakty z „Wólczanki" przeczyłyby takim twierdzeniom. Dostarczają one jeszcze jednego dowodu, że młodzież, przywdziawszy maskę bezmyślnego cynizmu, bawi się w życie ludzi dorosłych, bawi się bez względu na wszelkiego rodzaju konsekwencje nie przemyślanego startu życiowego.

Powołana, zamiast dotychczasowej komórki Ligi Kobiet, Komisja Kobiet Pracujących chce jak najszybciej sprowadzić na teren zakładu lekarza-ginekologa, który zająłby się tym trudnym problemem. Inicjatywa jak najbardziej słuszna. Dobrze by było, gdyby ów ginekolog posiadał jeszcze zalety doświadczonego pedagoga.

5.

„Wólczanka" dała wielu kobietom możliwość zarobku, wiele z nich otrzymało zawód. Zakład, jego wyposażenie techniczne stanowiły dla nich nowum, do którego długo musiały się przyzwyczajać. Tutaj, w „Wólczance", można pojąć głębszą treść tego niepięknego neologizmu: „chłopo-robotnik" oraz wniknąć w cały bagaż problemów, specyficznych dla tego środowiska.

Oprócz kroju i szycia kobiety uczyły się tu także jak poruszać się po zakładzie, poznawały nowe obowiązki i nie bardzo z początku zrozumiała dyscyplinę pracy. Na przykład trudno im było zrozumieć, dlaczego wymagano punktualności — „przecież mogę zostać po pracy te 20 minut i odrobić" — tłumaczyła się spóźniona pracownica. Dzisiaj wszystkie znają już swój zawód, swój zakład i swoje obowiązki, co nie znaczy, że wszystko jest już w porządku. Pozostała jeszcze kwestia najważniejsza, a mianowicie stosunek do pracy. W „Wólczance" obowiązuje praca akordowa, co oznacza, że jeśli siedząca gdzieś przy pierwszych operacjach — jak się tu nazywa poszczególne etapy produkcji — kobieta podsunie następnej mniej kołnierzyków, to ta będzie zmuszona złączyć z koszulami tylko tyle, ile dostanie, co oczywiście ujemnie odbije się na jej zarobku. I tutaj obserwuje się różny stosunek do wykonywanej pracy. Kobiety z miasteczka same formułują wniosek: „tym ze wsi nie zależy na pracy tak, jak nam". Daleka jestem od uogólniania, ale wydaje się, że młodej dziewczynie, której rodzice mają gospodarstwo rolne, nie zawsze zależy, żeby zarobić jak najwięcej. I część z nich z pewnością traktuje pracę w zakładzie jako nie najprzyjemniejszą, ale jedyną drogę do osiągnięcia garsonki z ełany czy nowej pary butów. A dla takich celów nie warto się specjalnie wysilać. Na szczęście część kobiet z „Wólczanki" z powodzeniem pełni role gospodyń zakładu, nauczyły się zło nie tylko dostrzegać, ale i walczyć z nim we własnym zakresie. Gdyby tak można było jeszcze zlikwidować nadmierną absencję, która czasami dochodzi do 7 proc. i jest zmorą dyrekcji. Przyczyny? Z przedstawionej, dokładnej statystyki lekarskiej jasno wynika, że duża absencja jest ściśle związana z chorobami i problemami kobiet. Zwolnienia obejmują przecież urlopy macierzyńskie, opiekę nad chorym dzieckiem, no i wszystkie przypadłości kobiece. Nie bez wpływu są tu, wspomniane już, fatalne dojazdy do zakładu. Wreszcie łatwo daje się zauważyć, że liczba zachorowań jest wprost proporcjonalna do ilości robót w polu. Ale jest to jeszcze jeden problem, nieodłącznie związany ze zjawiskiem tzw. „chłopo-robotników".

6.

Daleko odbiegłam w swoich rozważaniach od męskich koszul, a przecież te, które oglądałam w gabinecie dyrektora, były bardzo efektowne. I to zarówno te najelegantsze z popeliny, jak i te tańsze, w paski i w kratkę. Każda z nich zresztą przerabiałam w myślach na damską bluzkę.

Rzeczywistość w halach produkcyjnych wyglądała trochę inaczej. Materiały o wiele mniej atrakcyjne i już wcale nie miałam ochoty na takie bluzki, a niektóre bele towarów w magazynie wręcz wygasiły mój entuzjazm do końca... Nawet najmodniejszy krój kołnierzyka nie pomoże, jeśli koszula będzie buraczkowa i na dodatek zadrukowana bardzo brzydkim ciapkowatym wzorem. Koszmar! Taka koszulka w nocy się przyśni! W tej sytuacji nie należy się dziwić, że dyrekcja narzeka nie tylko na jakość otrzymywanych tkanin, które nieraz kurcza się w sposób wprost nieprzyzwoity i po pierwszym praniu nie nadają się do noszenia, ale także na ich wzory i kolorystykę. I właściwie rzecz zastanawiająca: stale narzeka się na różnego rodzaju buble, zalegające magazyny, a przecież olbrzymią ich część zasłużyła sobie na tę nazwę tylko ze względu na jakość materiału. Nie byłoby to takie dziwne, gdyby tkaniny projektowali ludzie nie znający się na rzeczy, ale robią to plastycy. I niech się wstydzą Zakłady im. Marchlewskiego, że ten brzydki buraczkowy produkt, zalegający w magazynie, to ich dzieło, niech się wstydzą tym bardziej, że ze wszystkich dostawców „Wólczanki", towary z Zakładów im. Marchlewskiego trzeba najczęściej reklamować...

* * *

Tak się jakoś złożyło, że większość przedstawionych tutaj problemów, to przede wszystkim bolączki zakładów. A przecież, jak stwierdza załoga, nowy dyrektor wprowadził widoczne zmiany na lepsze, a przecież, jak stwierdza dyrektor, wydajność pracy, mimo wielu trudności, wzrosła. Można by jeszcze pisać o uszlachetnionych wkładach do kołnierzyków, które jak twierdzą fachowcy, w niczym nie ustępują zagranicznym, i które są dodatkową specjalnością zakładów. Albo o ciekawym systemie dyspozytorsko-planningowym, który koordynuje działalność trzech zasadniczych pionów: zaopatrzenia, produkcji i zbytu. I znacznie usprawnia całą organizację pracy. System ten wprowadza bardzo kolorowe tablice, które wizualnie przedstawiają wszystkie dane informujące o tym, co się dzieje w produkcji.

Nie pisałam o tym wszystkim, bo założenie było inne. Chciałam pokazać problemy rozwijającego się zakładu. Jeśli choć w części to mi się udało, niech i to wystarczy na rozgrzeszenie.

---

rosną. Opłata je cmentarna zieleń, zarosły bluszczem, winnym liściem, olbrzymimi paprociami. Na kamiennych nagrobkach odczytuję napisy. Emigranci powstania listopadowego, oficerowie, żołnierze, intelektualiści, pisarze i wierne żony, towarzyszki tułaczej ich doli. Pomniki z kamienia czy nawet granitu wystawiała rodzina lub jakże często osiadła tu kolonia polska z dobrowolnych składek.

Tu i ówdzie wiersz patriotyczny, westchnienie do ojczyzny, prośba rodaków o modlitwę i pamięć. Ciężko było umierać na obczyźnie nawet wtedy gdy się swe życie i siły sprawie wolności oddało.

Na tablicach z piaskowca napisy całkiem nieraz zatarte, krzyże drewniane z dawnych lat już nie istnieją. Uliczki cmentarne krzyżują się i wiodą wciąż w nowe kwatery. Na próżno jednak wysilam się, szukając grobów najdawniejszych, tych jeszcze z XVIII wieku i uczestników napoleońskiej legendy. Czas zatarł ich ślady. I na cmentarzu dokonuje się swoistego rodzaju rotacja. Zatarte napisy i zapadłe mogiły ustępują miejsca nowym. Kwitną na nich znów świeże kwiaty.

Zapada zmierzch. Ostatnie blaski zachodzącego słońca kładą się jeszcze na cmentarnych liściach. Ustaje turkot maszyny za murem. Cisza zawisła nad miejscem wiecznego spoczynku, za chwilę zamykają bramę.

Postać w czerni odchodzi, odchodzę i ja. W notesie zapisałam odczytane nazwiska polskie, na jedną i drugą mogiłę rzuciłam świeży kwiat. Snują mi się w myśli słowa wyryte na jednej z grobowych płyt. „Rodacy pamiętajcie o nich".

Wracając do śródmieścia mijam ogromne zarosłe burzanami pustkowie. Stały tu ongiś domy, żyli w nich ludzie. Księżyc wyszedł właśnie zza chmur, w jego blasku widnieją wznoszące się opodal mury nowych dzielnic. Otrząsam się z przykrego wrażenia — ogarnia mnie znów optymizm. Drezno przestało być cmentarzyskiem. Pustki i zgliszcza zapełnią niebawem nowe domy. Ludzie w nich będą szczęśliwsi i lepsi.

I nasze zapomniane mogiły cmentarne znanych i nieznanych z nazwiska bojowników o wolność i godność człowieka, mają swe trwałe miejsce w historii i swój udział w budowie dnia dzisiejszego i lepszego jutra. One też świadczą najlepiej o wiekowej sympatii, przyjaźni i współpracy obu narodów.

ZOFIA LIBISZOWSKA

## *Pisarze o problemach literatury*

*Fot.: Henryk Śmigacz*

**MARIAN PIECHAL**

# Tradycja i NOWATORSTWO

Bardzo modne są obecnie oba te słówka. I najczęściej sobie przeciwstawiane. Ale czy słusznie? Wprawdzie, jeśli się o kimś mówi, że jest tradycjonalistą, to tym samym daje się do zrozumienia, że ten ktoś jest za czymś, co już zostało jako wartość przez historię sprawdzone i ustalone — a jeśli się o kimś mówi, że jest nowatorem, to tym samym daje się do zrozumienia, że ten ktoś jest za czymś, co jako wartość nie jest jeszcze przez historię sprawdzone i ustalone. Przez historię w przypadku tradycji rozumie się przeszłość, a w przypadku nowatorstwa — przyszłość. Tradycjonalista zatem jest to człowiek zwrócony ku przeszłości, nowator — ku przyszłości, pierwszego więc nazwalibyśmy wstecznikiem, drugiego — postępowcem. Ale czy słusznie?

Nie, niesłusznie! Ta sprawa nie jest tak prosta. Problem tradycji i nowatorstwa jest bardziej złożony. Przede wszystkim nie są to pojęcia bezwzględnie sobie przeciwstawne, lecz w istocie rzeczy wzajemnie się uzupełniające, czyli komplementarne. Nie ma przecież nowatorstwa absolutnego, podobnie jak nie ma absolutnego tradycjonalizmu. Boć jeżeli może być mowa o czymś nowym, to tylko w stosunku do czegoś starego, a jeśli o czymś starym, to tylko w stosunku do czegoś nowego. Same bowiem pojęcia nowości czy starości bez owych swoich przeciwstawnych punktów odniesienia nie mają przecież żadnego sensu. Nowość sama przez się, ani starość sama przez się nie istnieje i jest zgoła — jedna i druga odrębnie i z osobna — absurdem.

Natomiast i jedynie oba te pojęcia nabierają pełnego sensu w związku wzajemnym ze sobą. Nowatorstwo bez precedensów w tradycji, jak jak uschły kwiat bez odżywczego korzenia, a tradycja bez zarodników witalności w nowatorstwie, to uschły korzeń bez owocodajnego kwiatu. Słowo „wstecznictwo" może być w tym wypadku związane jak najsłuszniej z jednym i drugim pojęciem. Czy tak zwany futuryzm — sensu stricto — głoszący absolutne nowatorstwo czyli bezwzględny antytradycjonalizm z hasłami burzenia muzeów, palenia bibliotek, totalnego niszczenia dorobku kulturalnego przeszłości w ogóle, nie był objawem czegoś, co w pełnym słowa tego znaczeniu zasługiwało na nazwę wstecznictwa? Podobnie jak pseudoklasycyzm czy konserwatyzm, które w imię fałszywie pojętej obrony całego dorobku kulturalnego przeszłości negowały potrzebę jakiejkolwiek rewizji tegoż dorobku i zwalczały bezwzględnie zgubne jakoby dla kultury hasła odnowy i przejawy nowatorstwa? A więc wsteczny może być nie tylko tradycjonalizm, ale wsteczne może być także i nowatorstwo!

Prawda, że słowo „kultura" zawiera w sobie pojęcie kultu — kultu czegoś, co zostało stworzone przez ludzi, a następnie sprawdzone społecznie i historycznie jako wartość stała już wypróbowana w praktyce zbiorowej, ale przecież nie przekreślająca możliwości dodawania do niej elementów nowych. Kultura przecież to pojęcie nie statyczne, jak je właśnie pojmują rozmaitego autoramentu zaskorupiali obrońcy przeszłości i wstecznicy, lecz dynamiczne, będące w ciągłym rozwoju, poszerzane o nowe znaczenia, bogacące się wciąż w swej treści nowymi elementami ludzkiej odkrywczości!

U Norwida istnieje pojęcie „oświeconego konserwatyzmu". Na czym on polega? Na wyborze i konserwacji takich elementów z dorobku przeszłości, które są drożdżami nowych poczynań kulturotwórczych — czyli takich, które sprzyjają twórczemu nowatorstwu, to znaczy nie wszelkiemu w ogóle nowatorstwu, ale takiemu, którego korzenie tkwią w tradycji i które nie traci łączności z pewnymi wybranymi z niej żywotnymi jeszcze elementami. A więc nowatorstwo, które karmiąc się tradycją zarazem ją pomnaża, poświadczając ciągłość kultury czyli stając się nowym składnikiem w postępowym procesie jej rozwoju. Widzimy zatem, że ani postęp nie jest związany nieuchronnie z nowatorstwem, ani wstecznictwo z konserwatyzmem, tym mniej z tradycjonalizmem. Zależy, jakie to jest nowatorstwo i jaki to jest tradycjonalizm. Gdyż może być tradycjonalizm postępowy, podobnie jak nowatorstwo wsteczne. Wsteczne są wtedy, gdy występują jako siły antagonistyczne, wzajemnie się wyłączające.

Tradycja i nowatorstwo to jakby teza i antyteza, w których wyniku powstawać ma owa synteza — kultura. Wartości już stworzone to tradycja, wartości dopiero tworzone (ale w ścisłej łączności z już stworzonymi) to nowatorstwo. W ten sposób nowatorstwo ożywia tradycję, a tradycja uwierzytelnia nowatorstwo, zaś obie te siły działają na rzecz postępowego rozwoju kultury. Wiadomo — in trinitate robur.

Nie od rzeczy będzie chyba jeszcze przypomnieć, że mowa tutaj nie o nowatorstwie absolutnym, oderwanym całkowicie od tradycji (czymś w rodzaju chińskiej rewolucji kulturalnej, chociaż nawet i ta opiera się na pewnych dogmatach Mao, a więc swoistej tradycji), jak i nie o tradycji jako całkowitym i nienaruszalnym bagażu przeszłości, niedostępnym dla jakiejkolwiek rewizji i eksploracji twórczego nowatorstwa. Idea podobnej tradycji to passeizm, z istoty swojej wrogi wszelkiej odnawiającej sile inspiracji. Właściwe nowatorstwo to płodny wybór i selekcja pewnych żywotnych jeszcze elementów z kulturalnego arsenału przeszłości poprzez ich aktualizację, to w gruncie rzeczy przemiana tych elementów w rezerwuar własnej dynamiki celem przetoczenia się w kolejny trwały element tradycji czyli nowe ogniwo ciągłości kulturotwórczej.

W tysiącletnich naszych dziejach znajdziemy nie jeden przykład na tradycjonalizm wsteczny i postępowy, jak i na wsteczne i postępowe nowatorstwo. Sarmatyzm osiemnastowieczny to taki właśnie wsteczny tradycjonalizm, podobnie jak przeciwstawny mu dwudziestowieczny futuryzm, typowy okaz wstecznego nowatorstwa. Głoszenie bowiem programowego antytradycjonalizmu, anarchicznego burzycielstwa kulturalnego, pochwała troglodytyzmu, jaskiniowej chuliganeri, jarmarcznego wygłupu, skandalu, awanturnictwa i apoteoza wojny, to nic innego jak objaw najskrajniejszego wstecznictwa. Dopiero reakcja na futuryzm, ten zwyrodniały pomiot ekspresjonizmu (najczęściej wśród samych jego adeptów w miarę ich artystycznego dojrzewania), zrodziła takie postępowe prądy w sztuce i w literaturze, jak kubizm, konstruktywizm, nadrealizm, abstrakcjonizm — słowem nowoczesny awangardyzm. Oczywiście, nie brak wśród niego regresów futurystycznych, jak dadaizm, taszyzm, letryzm, ale w istocie swej awangardyzm to powrót do tradycyjnych zasad twórczości: ładu, rygoru, sensu.

Przykładem postępowego tradycjonalizmu może być choćby nasz Renesans z Rejem, Kochanowskim i Sępem Szarzyńskim na czele, nasz Barok z Morsztynami, Potockim i Korczyńskim, wreszcie Romantyzm z Mickiewiczem, Słowackim i Krasińskim. Natomiast Kopernik, Chopin i Curie-Skłodowska to przykłady postępowego nowatorstwa, które w ścisłej łączności z tradycją, ewoluując z niej przekształca się w jej dialektyczne przeciwieństwo — rewolucję.

Najcelniejszym jednak przykładem na nierozerwalny związek postępowego tradycjonalizmu z postępowym nowatorstwem będzie niezwykła twórczość Norwida. W jego życiu, w jego filozofii i w jego nad podziw wszechstronnej twórczości tradycjonalizm i nowatorstwo grają rolę wzajemnych źródeł zapładniającej inspiracji. Tradycja i rewolucyjna nowość poręczają się tu nawzajem, przesądzając o nieprzemijającej wartości dzieła.

---

**JANINA RZĄSA-ADYNOWSKA**

# KILKA UWAG o sytuacji aktora

W numerze 39(499) rok X „Polityki", ukazał się artykuł pana Jana Kłossowicza zatytułowany „Aktorzy". Miejmy nadzieję, że artykuł ten rozpocznie bardzo aktualną obecnie dyskusję na temat sytuacji aktorstwa w Polsce. Na marginesie tego artykułu pozwolę sobie jeszcze dorzucić kilka uwag.

### O NIEKTÓRYCH ANACHRONIZMACH

Gdy w roku 1945 społeczeństwo nasze zaczęło się organizować na nowych zupełnie zasadach, trzeba było w myśl nowych norm życia społecznego udostępnić, jeśli nie całemu, to w każdym razie większości społeczeństwa korzystanie z wartości kulturalnych na jakie nas było stać. Zaczęły powstawać nowe teatry, szczególnie na tzw. „prowincji". Wiele z nich posiadało początkowo tylko krzesła i kredyty. Trzeba było jeszcze wyprodukować aktorów. W rezultacie powstały trzy szkoły teatralne i osiemdziesiąt siedem teatrów.

Dla udostępnienia teatru jeszcze szerszym masom — tej zupełnie dalekiej prowincji, prawie wsi — stworzono w teatrach terenowych instytucję „objazdów". Teatry wysyłają swoje zespoły w teren, gdzie produkują się one w różnych salach i remizach strażackich. Produkcje artystyczne tego rodzaju, pomimo najlepszej woli zespołów odbiegają daleko od ideału. Tak daleko, jak daleko jest remizom strażackim do wygody i uroku normalnej sceny.

W latach powojennych gdzie radio było luksusem, kina objazdowe rzadkością a o telewizji ani słychu ani widu — tego rodzaju polityka była polityką nie tylko słuszną — była polityką jedynie możliwą.

Słuszność tej polityki potwierdziło życie. Życie trudne, ale bezkonfliktowe. Więcej mówiło się o sztuce, o działalności kulturalnej niż o trudach aktorskiego życia. Teatry pochłaniały aktorów w nieograniczonych ilościach, aktorzy szli z niesłychanym poświęceniem do widza najbardziej kulturalnie zaniedbanego. Istniała żarliwość i radość ofiary, ponieważ istniała jej potrzeba.

Na prowincji zaczęły powstawać dobre teatry, teatry madrego kierownictwa i zgranego zespołu, teatry które przetrwały po kilka i kilkanaście lat. W gruncie rzeczy w Krakowie czy w Łodzi nie było mniej interesująco niż w powojennej Warszawie.

To jest stan faktyczny sprzed kilkunastu lat. Niestety, w polityce kulturalnej tych ostatnich kilkunastu lat nie zostało uwzględnione to, że zmiany jakie przynosi nam życie zaciążą na warunkach życia teatralnego za lat kilkanaście, i że w największym stopniu zaciąża na życiu, pracy i sytuacji aktora.

W chwili obecnej każdy widz w Polsce ma dostęp do telewizora i do kina — do tych środków masowego przekazu, które mają nad teatrem tę wyższość, że są jednakowo atrakcyjne w sali klubu czy w remizie strażackiej. Instytucja objazdów sprzed lat kilkunastu stała się anachronizmem. Należałoby się zastanowić, gdzie i w jakiej postaci teatr objazdowy jest jeszcze potrzebny, a gdzie należałoby postępować w sposób bardziej naturalny — dowozić widza do teatru a nie na odwrót. Należałoby się może również zastanowić i nad tym, czy te najsłabsze, najbardziej labilne organizmy teatralne pozbawione zarówno kierownictwa, jak i fachowych sił aktorskich, należy nadal w sposób sztuczny utrzymywać przy życiu.

Nie ma co uparcie hodować anachronizmów, bo i tak i tak umrą one naturalną śmiercią. Nie ma co uparcie stosować środków upowszechnienia kultury z czasów osterwowskiej „Reduty", ponieważ, czasy „Reduty" należą do przeszłości, tak samo jak do przeszłości należy na wsi chłopak w słomianym kapeluszu, który w życiu nie widział kina.

Ilość już mamy, tylko jeszcze nie wszędzie przemienia się ona w j a k o ś ć. I w tym wypadku należałoby pomóc dialektyce i zwrócić baczniejszą uwagę na stworzenie teatrom terenowym lepszych możliwości, lepszych warunków dla rzetelnej pracy a r t y s t y c z n e j.

### O PLANOWANIU I KADROWEJ POLITYCE

Mówi się o nadprodukcji aktorów, których na nasz rynek dostarczają trzy wyższe szkoły teatralne i stale jeszcze odbywające się egzaminy eksternistyczne. Jest faktem, że popyt na aktorów spada, spada także i na prowincji — a w teatrze wszystko co nie jest niezbędnie konieczne, stwarza komplikacje.

Jeszcze przed kilku laty aktor bez pracy czy aktor nieusatysfakcjonowany — było to zjawisko związane wyłącznie z największymi ośrodkami. Obecnie daje się ono odczuć również i na prowincji. Ileż razy brałam udział w posiedzeniach Rad Artystycznych, które trwały zbyt długo albo były zbyt burzliwe dlatego „ponieważ w zespole było zbyt dużo Kordianów czy Racheli"! I to nie tylko na zasadzie komedianckich tęsknot. Często ten nie obsadzony był wcale nie gorszy od tego, który rolę dostał. A dalej? Jakże nie obsadzić w następnej czołowej roli tego, który grał Kordiana, czy tej która grała Rachelę! Średnie i małe role liczą się tylko w największych ośrodkach!

W ciągu ostatnich kilkunastu lat dążyliśmy do tego, by nasze zespoły teatralne składały się wyłącznie z aktorów posiadających pełne kwalifikacje zawodowe. Wymaga tego repertuar, który jest obecnie grany, wymaga tego idea naszego teatru — teatru o wysokim poziomie artystycznym i ideowym.

Posiadamy obecnie gros zespołów złożonych wyłącznie z aktorów sprawdzonych przez szkołę i przygotowanych do zawodu. Takie zespoły mogą stać się wielką stawką w ręku madrego reżysera — ale równocześnie wymagają innej polityki kadrowej niż zespół złożony z kilku gwiazd i grupy komparsów. W takim teatrze muszą się liczyć wszystkie role. Nie tylko Kordiany i Rachele. Każdy aktor musi z czegoś zrezygnować, by coś uzyskać. Musi zagrać mniejsze role po to, by zdobyć prawo zagrania ról większych. Musi mieć prawo do opieki artystycznej i do satysfakcji zawodowej na miarę swoich możliwości. Bo poziom przedstawienia, to nie jedna zagrana rola, ale suma właściwie wykonanych wszystkich zadań aktorskich.

Jak już się rzekło, dzisiaj stać nas na wielką ilość zespołów teatralnych, złożonych wyłącznie z pełnoprawnych aktorów. Niestety zbyt często jeszcze stosuje się wobec nich politykę z wczoraj i przedwczoraj, — i to jest źródłem konfliktów na skutek których najbardziej cierpią aktorzy.

### ABSOLWENCI SZKOŁY I PRACA W TEATRZE

Co odstrasza młodych aktorów od prowincji?

Dyrektorzy teatrów prowincjonalnych angażują absolwentów szkół teatralnych bardzo chętnie. Jest to młodzież przygotowana do zawodu, nie zdemoralizowana, bez wymagań i — tania. Młodzi ludzie po szkole procentują na zasadzie tych umiejętności, jakie im dała uczelnia i na zasadzie zewnętrznych warunków młodości i świeżości. Walorów tych starcza na dwa, trzy lata. Później idzie się siła rozpędu jeszcze rok, albo dwa. Wreszcie następuje kryzys. Brak reżysera, zmiana kierownictwa teatru, konflikt z drażliwym dyrektorem.... Często jeszcze ten sam dyrektor „dla odświeżenia zespołu" angażuje następną grupę młodych, zdolnych i tanich a ze starszymi albo się żegna, albo muszą oni ustępować ze swych pozycji.

Sytuacja młodego aktora wychodzącego po paru sezonach z teatru, w którym niewiele się nauczył, jest trudniejsza niż absolwenta szkoły, za którym przemawia firma uczelni. Nawet jeśli zagrał kilka dobrych ról np. w Zielonej Górze — cóż wie o nim dyrektor np. z Olsztyna?

Zbyt mała ilość u s t a b i l i z o w a n y c h organizmów teatralnych prowadzonych przez kierownictwa o dużej klasie fachowej i wysokim poziomie etyki zawodowej — to główna bolączka tzw. prowincji. Ludzie typu Chaberski, Byrscy, Skuszanka-Krasowski czy Hübner pojawiają się na prowincji jak feniksy, a gdy odchodzą, miejsca ich zajmują często ludzie przypadkowi, nie przygotowani do roli kierowników zespołów teatralnych. W rezultacie teatr przestaje być teatrem, a zespół zespołem. I taka placówka już nie przyciągnie ambitnych aktorów ale ich odstraszy, bo, wiemy, czym może stać się mierny nawet aktor w ręku dobrego reżysera, a czym dobry w ręku reżysera z przypadku.

Aktor często chroni się nie przed prowincją — ale przed złą prowincją. Chroni się na

*Stanisław Cuchra-Cukrowski — „Sowa"*

*Fot.: J. Grygiel*

zasadzie samoobrony. Chroni się przed środowiskiem, które nie tylko że jest trudne, ale które w dodatku umie tylko eksploatować aktora, dając mu w zamian bardzo niewiele, albo nic.

Znałam kolegów z małych ośrodków teatralnych, którzy przez lata całe nie obejrzeli ani jednego przedstawienia teatralnego. Często były to filary zespołu, ludzie naprawdę utalentowani, którzy zajmowali się tylko graniem. Pracując w ten sposób przez lat kilka, stawali się najpierw „pewniakami", a później popadali w nieznośną sztampę. Bo, jakże może rozwijać się aktor, który nie ma możliwości pójścia od czasu do czasu do teatru i skonfrontowania tego co robi on sam, z tym co robi kolega? Który nie ma szczęścia, pracować z reżyserem z prawdziwego zdarzenia? Który nie ma czasu i możliwości zajęcia się konieczna lektura?

Do tego jeszcze prowincja — to klapa finansowa. Lekarz, gdy idzie na prowincję, z miejsca dostaje pensję wyższą o tysiąc złotych, jako ekwiwalent za pracę w trudniejszych warunkach. Aktor idący na prowincję ma nie tylko trudniejsze warunki pracy, utrudniona możliwość rozwoju, większa niepewność jutra — ale jeszcze stałe kłopoty finansowe i żadnych możliwości ubocznych zarobków.

Istnienie słowa „prowincja" w naszym słownictwie teatralnym mówi samo za siebie. I rzeczywiście, jakie miasto, poza chyba — Krakowem, może konkurować ze splendorem stolicy? W innych dziedzinach życia udało nam się częściowo zatrzeć przepastną różnicę pomiędzy ośrodkami wielkimi i małymi. W dziedzinie teatru różnice te są stale jeszcze zbyt widoczne. Stąd niezdrowy podział na aktorów stołecznych i prowincjonalnych. I, niestety, ten ostatni przymiotnik ma zawsze tradycyjną nutkę pogardy.

Wszyscy żyjemy w tym samym państwie, wszyscy należymy do tej samej komediancklej rodziny i wszyscy służymy tej samej idei. W obecnej sytuacji naszego aktorstwa mówi się, niestety, coraz mniej o sprawach fachowych, a coraz więcej o złym położeniu aktorów. Oby te problemy, które rzeczywiście istnieją, nie przesłoniły nam przez sam fakt swojego istnienia najważniejszych problemów naszego teatru — problemów ideowo-artystycznych. Teatr jest zawsze na miarę warunków z jakich wyrasta. I tu także działa dialektyka. I, jak mówił Brecht — najpierw żarcie — a później moralność.

### AKTOR Z DYPLOMEM I BEZ

Znachor wykonujący praktykę lekarską traktowany jest i karany jak przestępca, nawet w wypadku, jeśli swoim postępowaniem nikomu nie przyniósł szkody. Tępi się wszelkiego rodzaju babki i owczarzy, chociaż niejednokrotnie zdarzyło się, że i oni wyleczyli kogoś z bólu zębów lub nastawili zwichniętą rękę. Tak to jest w medycynie.

W aktorstwie są co prawda dyplomy ukończenia uczelni aktorskich i świadectwa zdanych państwowych egzaminów eksternistycznych, ale równocześnie nie ma żadnej faktycznej ochrony zawodu. W praktyce zawód aktora może wykonywać każdy, jeśli tylko znajdzie się ktoś, kto kupi jego produkcję.

Czy istotnie wszyscy, którzy wykonują zawód aktora nielegalnie umieją tyle samo, co i aktorzy, którzy się tego zawodu uczyli? Zresztą — tyle samo to zbyt mało. Czy umieją więcej? Wyjątki, które istnieją, potwierdzają tylko regułę, że aktorstwo to zawód, do którego trzeba się przygotowywać kilka lat.

Faktem natomiast jest, że „naturszczyk", który od lat obija się w teatrze, wie więcej o mechaniźmie życia teatralnego, niż każdy początkujący aktor i żyje w kaszy każdego absolwenta z dyplomem podpisanym przez pierwsze nazwiska w kraju.

W społeczeństwie zorganizowanym musi istnieć jakiś porządek. Musi on być również w teatrze. Musza istnieć jakieś sankcje i jakieś zakazy mające na celu faktyczną ochronę zawodu aktora. Nie wolno mówić o „specyfice zawodu aktorskiego" po to, by działać na jego szkodę. Właśnie ze względu na szczególną specyfikę tego zawodu jego ochrona, ochrona faktyczna jest jak najbardziej konieczna.

### KIEROWNICTWO TEATRU I ZESPOŁ

Kiedy się o coś walczy — — można czasem wygrać. Problem zaczyna się wówczas od nowa — co zrobić z wygraną.

Od lat walczono w naszym teatrze o wzmocnienie władzy dyrektora — sprawa potrzebna i słuszna. Walka została wygrana — ale z wygraną zaczęło być różnie. Jeżeli w pozycji wygranej jest wybitna jednostka — wówczas wszystko — mądry a bezkompromisowy dyrektor, znakomity reżyser, wspaniały wychowawca — jednym słowem — teatr na jego podobieństwo.

Gdy w pozycji wygranej znajdzie się jednostka o niższym poziomie zawodowym i etycznym — wówczas również teatr i zespół zaczyna przybierać jej twarz. Dyrektor jest dyrektorem, reżyserem, kierownikiem artystycznym, często aktorem, kierownikiem muzycznym, kierownikiem literackim — w jednej osobie. Sam jako jedyny reżyser teatru reżyseruje prawie wszystko, gra, proponuje repertuar i ma czas jeszcze na gościnne reżyserie i na zagranie roli w filmie czy telewizji. W razie potrzeby doskakuje ktoś z zewnątrz na jedną reżyserię lub dwie. Taki gościnny reżyser, który sztukę musi zrobić w kilka tygodni, nie ma w sprawie zespołu ani teatru nic do powiedzenia. Najczęściej nie ma nic do powiedzenia nawet w sprawie obsady własnej sztuki.

Spotyka się, szczególnie na tej głębszej prowincji, teatry pozbawione kierownika literackiego i scenografa oraz reżyserów.

A przecież koncepcja sztuki, jej kształt artystyczny — to siła wypadowa reżyserii, dramaturgii i scenografii. Im większy reżyser, tym więcej ma on do powiedzenia. Niemniej jednak nie jest źle, gdy nad przedstawieniem pracuje więcej talentów i więcej inteligencji, niż jedna. Nie jest rzeczą przypadku, że ci najwięksi kierownicy zespołów teatralnych dobierają sobie zawsze bardzo troskliwie kierownictwo literackie, plastyczne i muzyczne — i, choć ostatnie słowo należy do nich, nie wahają się korzystać ze współpracy wybitnych fachowców.

I tu dochodzimy do sprawy drażliwej — sprawy obsadzania kierownictwa teatrów przez właściwych fachowców. To, co się zbyt często dzieje w naszych teatrach, jest sygnałem, że w tej sprawie mamy zbyt wiele niewypałów. Rezultat — zły teatr i nieszczęśliwy zespół — a raczej brak zespołu i wieczny kontredans dyrektorów.

Ileż to razy zespół na wiosnę nie wie jeszcze z kim będzie pracował w jesieni! Często, właśnie na wiosnę, problemem numer jeden jest nie co i jak będziemy grać, tylko czy nasz szef „dojrzał" już, czy jeszcze nie. Gdy rozchodzi się wiadomość, że szef „dojrzał", zaczynają się tworzyć frakcje i grupki, a każda ma swojego kandydata. Ci, którzy chcą kogoś z wewnątrz, na zasadzie „my chcemy króla Piasta", ci którzy popierają tego, którego życzy sobie miasto. Jest jeszcze zwykle jakiś najmniej określony, prawie mityczny kandydat Warszawy.

Trzeba by koniecznie spowodować, aby te czynniki, które decydują w sprawie obsady dyrektorów, załatwiały te sprawy w sposób bardziej zorganizowany i przede wszystkim — terminowy.

Wydaje się, że forma dostatecznie wcześnie ogłaszanych konkursów na czołowe stanowiska w teatrze, byłaby rozwiązaniem najszczęśliwszym i najprostszym.

### O PRACY ORGANIZACJI SPOŁECZNYCH I POLITYCZNYCH

Aktor jest konstrukcją aspołeczną tylko na pozór. Jeśli w zespole zaistnieją pozytywne warunki po temu, jeśli znajdzie się kilka osób które nie tylko swoją pracą zawodową chcą służyć teatrowi — aktor staje się wspaniałym społecznikiem. Wychodzi poza sprawy swojego warsztatu — jego staje się nie tylko rolą — jego staje się teatr.

Czynnikami organizującymi zespół są, poza pierwszoplanową osobą dyrektora teatru, organizacja zawodowa SPATiF i POP. Ze względu na niebagatelną rolę jaką te dwie organizacje są w stanie spełnić, wydaje się bardzo pożyteczne sprowokowanie dyskusji i na ten temat.

ANDRZEJ GRUN

# Nie święci garnki...

Nie bardzo wiem od czego właściwie zacząć, wiele bowiem czynników wpłynęło na powstanie tej jedynej w Polsce placówki, którą wszyscy i wszędzie określali od początku i określają zresztą nadal owym magicznym mianem „nietypowa". Pracownia graficzna wyposażona w prasy drukarskie gdzie artyści — graficy mogą robić odbitki ze swoich drzeworytów i metali oraz niewielka oficyna drukarska, będąca zakładem produkcyjno - doświadczalnym. Ot, i wszystko. A całość, aby sprawę zupełnie postawić na głowie, podlega nie centralnym władzom poligraficznym a... Łódzkiemu Oddziałowi ZPAP. Przyznać trzeba, że to już nietypowa nietypowość. Pełna nazwa placówki brzmi: Graficzne Zakłady Doświadczalne Związku Polskich Artystów Plastyków w Łodzi. Historię tych zakładów warto opowiedzieć. Jest tym bardziej interesująca, że wywodzi się z tzw. czynu społecznego w dosłownym i najlepszym, słowa tego znaczeniu. I że dziś metody i wyniki pracy Zakładów są przedmiotem powszechnego zainteresowania. Chcąc pokazać rzecz całą chronologicznie należałoby sięgnąć do pierwszych lat powojennych. Okupant tak w Łodzi jak i w innych ośrodkach zniszczył większość maszyn poligraficznych. W gorącym okresie po wyzwoleniu ze zrozumiałych względów zniszczeniu uległa większość małych maszyn drukarskich. Ten park maszynowy, który ocalał, został oddany do dyspozycji dużych zakładów poligraficznych, nowych drukarskich kombajnów, które zastąpiły liczne małe oficyny drukarskie. To było posunięcie taktyczne. Dyktowała takie posunięcie specyfika tamtych lat i aktualne potrzeby kraju. Polska była bez książek, bez podręczników. Należało, realizując uchwały najwyższych instancji rządowych i partyjnych, wydrukować szybko duże ilości taniej książki, nawet kosztem jej szaty graficznej. Zadanie postawione przed polskim drukarstwem zostało przezeń w pełni wykonane.

Ale z czasem, kiedy pierwsze potrzeby już zaspokojono, dały się zauważyć ujemne strony tej polityki. Powstanie i rozwój kombinatów poligraficznych wpłynęło ujemnie na poziom edytorski książek, spowodowało zanik tego, co zwykle określa się mianem doskonałości rzemieślniczej. Wysokość nakładu i taniość nie szła niestety w parze z wartościami artystyczno - typograficznymi wydawnictw i iść nie mogła. O poligrafii szlachetnej nie było co nawet marzyć. Pożądany był, przynajmniej w pewnych odcinkach powrót do małych oficyn drukarskich.

Z drugiej strony artyści— graficy w wielu ośrodkach także w Łodzi, pozbawieni dostępu do pras drukarskich napotykali na trudności nie do pokonania, zwłaszcza gdy szło o powielanie płyt metalowych i drzeworytów. Kupno i posiadanie własnej prasy wiązało się z wieloma uciążliwymi zabiegami natury urzędowej i było w gruncie rzeczy trudne do przeprowadzenia. Krępowało to swobodę twórczą i ograniczało skalę możliwości artystycznej wypowiedzi. Zaczęto więc w łódzkiej sekcji graficznej ZPAP przemyślać nad stworzeniem pracowni z odpowiednim wyposażeniem i fachową obsługą.

Jednocześnie ciągłe i uciążliwe kłopoty z drukiem katalogów, plakatów, zaproszeń na wystawy jako wydawnictw o małych nakładach nasunęły pomysł równoczesnego zorganizowania małej oficyny drukarskiej. Zaczęto chodzić, zaczęto pisać. Rozmowy, pertraktacje, przekonywania, wymiana pism. Zwykła kolej rzeczy. Trwało to zabieganie długo — wszystko rozbijało się o mur nietypowości. Ale wreszcie w 1958 roku Związek PAP uzyskał zgodę na utworzenie takiej placówki z wyraźnym zaznaczeniem, że ma być ona placówką o charakterze doświadczalnym — znalazła się furtka! Zgodę uzyskano co prawda, ale nie uzyskano pieniędzy. Nie było też lokalu, ani maszyn ani odpowiednich fachowców. Łódzcy plastycy stanęli na starcie z przysłowiową złotówką w kieszeni. Przyznać trzeba, że nie był to start z najlepszych pozycji. I tu byłby może koniec ambitnego początku, gdyby nie znalazł się człowiek na tyle energiczny i na tyle znający się na rzeczy, żeby sprawę ruszyć z martwego punktu i wyprowadzić na szerokie nurty. Był nim artysta — grafik i drukarz w jednej osobie, były dyrektor Łódzkich Zakładów Graficznych, pan Julian Książek. Postać to ze wszech miar interesująca. Uczeń profesora Adama Rychtarskiego ze Szkoły Sztuk Pięknych im. K. Krzyżanowskiego w Warszawie, litografię i inne techniki drukarskie poznał u starych łódzkich mistrzów tego fachu. Miał ku temu wszelkie dane, bowiem ojciec jego, Antoni Książek był naczelnym redaktorem „Kuriera Łódzkiego" a stryj, Stanisław wydawcą tegoż. Doświadczenia i umiejętności nabyte u prof. Rychtarskiego i w drukarni „Kuriera" z czasem miały okazać się wielce przydatne.

Tak więc pan Julian Książek zajął się całą sprawą, odbywał ciągłe wojaże do Warszawy i po Polsce, kołatał do drzwi, nachodził, molestował, ściągał skąd się dało stare maszyny drukarskie, szukał fachowców. Znalazło się też skromne lokum w oficynie starej, łódzkiej kamienicy — ciasne i z wielkim trudem zaadaptowane do nowych funkcji. I wreszcie nadszedł ten dzień, kiedy maszyny poszły w ruch. Ukazały się pierwsze, jeszcze bardzo niedoskonale technicznie katalogi i plakaty do łódzkich wystaw. Ale były, i to było najważniejsze. Ciągłe kłopoty finansowe, brak pieniędzy na papier, na farbę, na opłaty administracyjne zmusiły zakład do szukania zamówień. Etykiety, zaproszenia, afisze, opakowania — brano co się dało. Powoli, powoli drukarnia zaczęła powiększać zakres swojej działalności usługowej, nabierać rozpędu. Druki były coraz lepsze, zamówienia posypały się jak z rękawa. Inne ośrodki plastyczne zaczęły drukować swoje katalogi w Łodzi. Jednocześnie na wystawach pojawiły się licznie prace łódzkich grafików. Drzeworyty, linoryty, metale odbijane w pracowni Zakładów. Zaczęto w Polsce mówić o łódzkiej grafice i to mówić dobrze. Podkreślano jej wysoki poziom techniczny. Poszły za tym nagrody, wyróżnienia, zaproszenia na wystawy zagraniczne. Oficyna drukarska i pracownia graficzna zdobyły ostatecznie swoje złote ostrogi. Zlecano teraz Zakładom Doświadczalnym druk katalogów na takie imprezy artystyczne jak Festiwale Sopockie i Szczeciński, jak retrospektywna wystawa Cybisa. Eksperyment udał się i to udał się w pełni. Było o co kruszyć kopie. Z pomocą przyszły teraz władze miasta — przydzielono kilka nowych pomieszczeń, przybyło maszyn. Ale przecież miały to być zakłady DOŚWIADCZALNE, Graficzne Zakłady Doświadczalne. Pamiętano i o tym a właściwie pamiętał o tym przede wszystkim niestrudzony pan Julian Książek. Przemyśliwał on nad urzeczywistnieniem ambitnego pomysłu a mianowicie nad wydrukowaniem dobrej, prawdziwie dobrej reprodukcji. Był nazbyt wytrawnym drukarzem aby nie zdawać sobie sprawy z trudności jakie przyjdzie pokonać nim pierwsza reprodukcja ujrzy światło dzienne. Ale wiedział też, że zadania takiego podjąć się może tylko zakład mały, nie obciążony nadmierną produkcją usługową, mający doskonałych fachowców. Te warunki łódzkie zakłady spełniały. Drugim problemem był wybór odpowiedniej techniki. Po dyskusjach zdecydowano się na światłodruk, technikę starą i mało wydajną mającą jednak tę zaletę, że pozwala na uzyskanie absolutnie wiernej reprodukcji oryginału. W Polsce do tej pory szerzej się tą techniką nie zajmowano. Były ponoć jakieś próby przed wojną w Wilnie i w Krakowie, opowiadano o tym wśród drukarzy legendy, ale nikt nic konkretnego nie wiedział. Zachodnie firmy — Braun w Paryżu, Abrams w Nowym Jorku, drukarnie drezdeńskie i wiedeńskie robiły tą techniką reprodukcje już w latach dwudziestych. Po wojnie światłodrukiem zainteresowały się Węgry, Czechosłowacja i Związek Radziecki.

Ogólna zasada była znana. Nie znane były szczegóły, nie było ludzi, nie było doświadczenia. Pan Julian sprowadził stare litograficzne maszyny, kazał przekonstruować i z kilkoma drukarzami rozpoczął żmudne doświadczenia. Jak tam było tak było. Raz lepiej, raz gorzej. Powodzenia i niepowodzenia przeplatały się ze sobą przez długie miesiące. To trudności wydawały się nie do pokonania, kiedy indziej wszystko wyglądało łatwo i prosto. Zespół nabierał jednak coraz większego doświadczenia, odkrywał coraz to nowe tajemnice. Ręce i oczy stawały się coraz sprawniejsze a upór zaczął przynosić rezultaty. Pierwsza odbitka, druga, dziesiąta... Trzeba było jednak pracować powoli, oszczędzając, bo niestety nikt eksperymentu sfinansować nie chciał. A tu doszły słuchy, że identycznym problemem zajął się „Ruch", który odmówił zresztą swojego czasu Zakładom poparcia finansowego, że w Drukarni Pocztowej we Wrocławiu, na nowoczesnych maszynach niemieckich rozpoczęto próby ze światłodrukiem. Wolność Tomku w swoim domku! Szczęść boże — pomyślał pan Książek i robił swoje. Wreszcie sensacja! Przez radio, telewizję, prasę cały kraj dowiedział się, że we wrocławskiej drukarni odbito pierwsze reprodukcje metodą światłodruku, co prawda jeszcze niedoskonałe ale... wszystko jest na najlepszej drodze. Ale na tej najlepszej drodze we Wrocławiu właśnie utknięto. I ani w te ani wewte. Przypomniano sobie wtedy w „Ruchu", że ktoś z Łodzi prosił kiedyś o pieniądze na podobne cele, przedkładając dowody daleko zaawansowanych prób. Przyjechali z „Ruchu" do Łodzi ale pan Julian, po tylu samotnie pokonanych trudnościach słusznie nie odczuwał wewnętrznej potrzeby „wymiany doświadczeń". Stosunki z „Ruchem" pogorszyły się jeszcze bardziej, kiedy „Trybuna Ludu" wydrukowała króciutką notatkę o eksperymencie w Zakładach Doświadczalnych. Rozpętała się burza. Wiadomości Graficzne zamieściły artykuł o tzw. prawie pierwszeństwa (czy czegoś w tym guście). Tę burzę w szklance wody pan Książek pominął milczeniem. Wiedział on i jego zespół, kto ma tu prawo do owego pierwszeństwa. Chodziło im zresztą zawsze tylko o wydrukowanie dobrej reprodukcji, polemiki kto, gdzie i kiedy nie interesowały ich absolutnie, a o laury i oklaski nie zabiegali nigdy.

Nadszedł maj 1966 roku. XI Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie. Obok znanych firm zagranicznych znalazły się także pierwsze polskie reprodukcje wykonane techniką światłodruku. Pochodziły z Graficznych Zakładów Doświadczalnych w Łodzi. Było ich niewiele, zaledwie osiem. Ale stały się one prawdziwą sensacją. Wytrzymały z powodzeniem próbę konfrontacji z najlepszymi reprodukcjami zagranicznymi. Sukces był zupełny. I zgodnie z naturalną koleją rzeczy — posypały się gratulacje, obiecano pieniądze. Dom Książki podpisał z Zakładami umowę o kupno i kolportaż.

C'est la vie! — mówi francuskie przysłowie. A pan Julian Książek i jego drukarze? Ci jak zwykle są niezadowoleni. Można zrobić jeszcze lepsze odbitki — mówią — i zrobimy je. Nikt już dzisiaj w to nie wątpi. A czym jest i jaką funkcję spełnia dobra reprodukcja, tego chyba nikomu nie trzeba tłumaczyć.

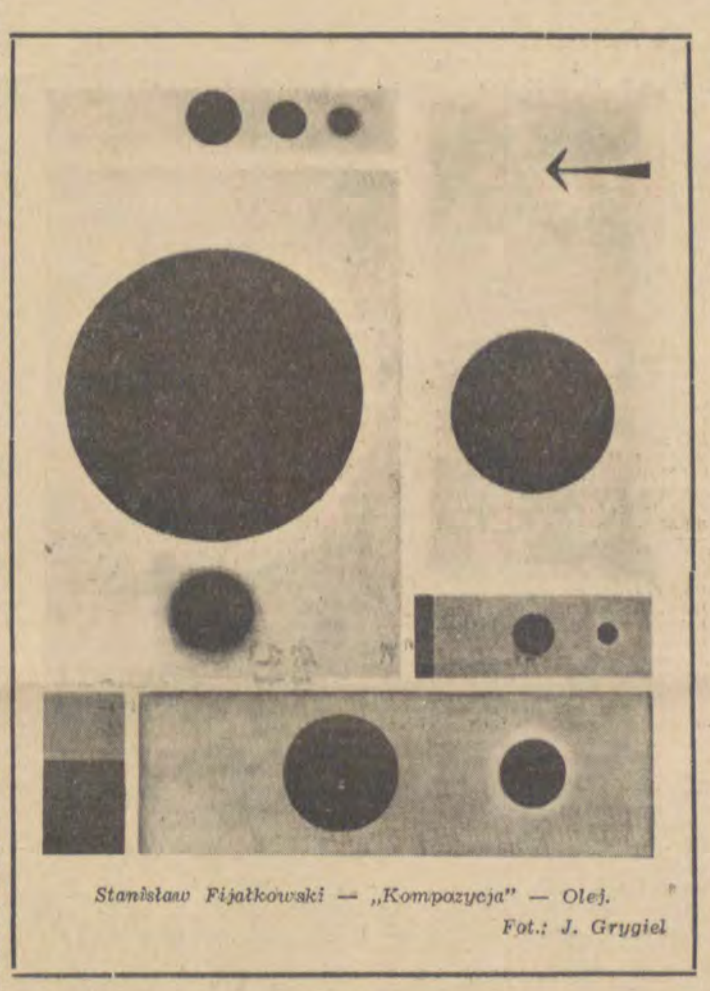

*Stanisław Fijałkowski — „Kompozycja" — Olej.*
*Fot.: J. Grygiel*

# NOWE KSIĄŻKI ★ NOWE KSIĄŻKI

KONRAD FREJDLICH

## Śpiew na dzień dobry

Swój najnowszy tom wierszy nazwał Włodzimierz Słobodnik z przekory chyba „Śpiewem na dobranoc". Książka przynosi bowiem poezję gniewną, sarkastyczną, demaskatorską. Prawda, jest nieco sentymentu w cyklach utworów poświęconych stronom rodzinnym autora, jest nieco tkliwości i łagodnej zadumy tam, gdzie Słobodnik wspomina młodość „i to, co śniło się dolinom", ale zasadniczy ton tomu jest jednak inny: namiętny, drapieżny. Nie jest to, na pewno, książka uczuć letnich.

Autor pozostał wierny swej melodii wiersza i swej poetyce. Jak w tomikach poprzednich Słobodnik czuje się spadkobiercą wielkich prądów kulturowych całej ludzkości, nie tylko jako artysta, bo przede wszystkim jako członek człowieczego społeczeństwa. Jest więc wrażliwy zarówno na śmierć dawnej Egipcjanki i dawnej Wenecjanki, jak i na malarstwo Rembrandta, dlatego zachwyca się w wierszu Ikonami Rublowa i poświęca ballade Ociepce. Najwyższe wzloty myśli ludzkiej na przestrzeni wieków, to dla Słobodnika fakty tak elementarne jak śmierć czy urodziny, tak samo rozpina się pomiędzy nimi życie człowieka i całych narodów. Wyraża nie podziw dla starych mistrzów, ale zachwyt nad tym, co może i potrafi człowiek w ogóle.

W tym kontekście szczególnie przejmująco brzmią w utworach poety doświadczenia ostatniej wojny. Doświadczenia, które były przykładem najwyższego heroizmu jednych i najwyższego upadku drugich. W cyklu „Dla ładu" dosyć często mamy do czynienia, jak u Różewicza pierwszych książek, z krzykiem jednego z ocalonych od rzezi. Jest to więc poszukiwanie nie tyle „ładu obrazów i skojarzeń", co porządkowanie dwóch paralelnych linii rozwojowych ludzkości: cywilizacji i barbarzyństwa, barbarzyństwa bynajmniej nie historycznego.

Obsesyjne rozpamiętywanie najstraszniejszych okrucieństw, jakich kiedykolwiek doświadczyła ludzkość potęguje wyrażona w niejednym z wierszy troskę o kształt i przyszłość świata. Świata, w którym żyjemy, oddając się naszym codziennym zajęciom, płodzeniu dzieci, snom, chociaż

„Nasz wiek — Sebastian
przeszyty strzałami —
Krwawi obłędem
i strachem",
(NASZ WIEK)

Jest tu Słobodnik rzecznikiem niepokojów wspólnych wszystkim uczciwym ludziom, których nie pociesza istniejąca w świecie równowaga strachu, bo przecież

„Człowiek? To ten, co
od dawna już skonał,
Zginął od własnej
potęgi",

Podobne przestrogi i katastroficzne wizje pobrzmiewają jeszcze w niejednym z wierszy, choćby w doskonałym, bez tytułu, zaczynającym się od słów: „Ten cień na ścianie, czy to cień zagłady".

Temu światu balansujące mu na skraju przepaści przeciwstawia poeta Wielką Sztukę. Wierzy w moc oddziaływania sztuki, w jej dobrodziejstwo dla ludzkości, choć jego wiara nie jest już taka niezachwiana.

„Czy wielka sztuka cię
ujarzmi,
Zawarta w płótnie,
w głazie, w słowie
I w muzyce? Na to
pytanie
Ni noc, ni cisza nie
odpowie",

Nieprzypadkowo przecież napisał Słobodnik wiersz pt. „Noc Walpurgii". klasyczna noc Walpurgii, gdzie „psy gestapowców ujadają wściekle". Jeśli uzmysłowić sobie, że „Noc Walpurgii" stanowi jedną ze scen „Fausta" Goethego, aluzja stanie się zupełnie przejrzysta.

Ale byłoby nieprawdą, gdybyśmy stwierdzili, że Słobodnik miota się tylko pomiędzy katastroficznymi wizjami. Dostrzega piękno i sens świata nawet obłąkanego, nawet „przeszytego strzałami". Chętnie portretuje „czarodziejstwo szare i powszednie", wszędzie potrafi dostrzec anioła dobroci i piękna („Coś niecoś o aniołach").

Tyle, że wszędzie widzi zagrożenie dla tego piękna, dla człowieka w ogóle. „Nie aniołowie, lecz bombowie i rakietowie go wieściły". Bombowie i rakietowie są wszędzie, są nawet w snach. Poeta nie znalazł ładu i nie ma prawa powiedzieć już: dobranoc. Myśle, że to jego rozdarcie, rozdarcie współczesnego człowieka, będzie poszukiwało ujścia w następnej książce wierszy. Może równie dobrej, jak przekorny „Śpiew na dobranoc".

Włodzimierz Słobodnik — „Śpiew na dobranoc". Wyd. „Czytelnik", 1966 r.

EDWARD MARTUSZEWSKI

## Dokąd płynie ten „Kajak"?

Akcja nowej powieści Leonarda Turkowskiego *) rozgrywa się latem na Mazurach, ale zarówno problematyka regionalna, jak i wczasowa znajduje się w „Kajaku" na dalszym planie. Więcej — zaraz na początku autor odżegnuje się od poruszania spraw integracji etnicznej, wkładając w usta jednego ze swych bohaterów te słowa: „Co ty wydziwiasz, Stachu? My tu już wszyscy jesteśmy autochtonami, wcale nie widzimy różnicy między sobą. To już dwadzieścia lat!"

Pomimo takiego założenia autor powieści rejestruje jednak w jednym z ostatnich rozdziałów pewne różnice między Tesią a Bolkiem, wynikające właśnie z autochtonicznego pochodzenia dziewczyny. Są to jednak różnice nie najważniejsze i nie najistotniejsze. Ale może tylko dlatego, że nie w każdej dziedzinie życia mogą czy muszą one przecież występować.

Byłoby naturalnie absurdem w każdej sprawie ludzkiej na Mazurach i Warmii dopatrywać się specyfiki etnicznej, byłoby maniactwem każdy konflikt na tych terenach rozpatrywać w aspekcie integracji, z drugiej jednak strony — bez wprowadzania sztucznych podziałów w imię różnic, które niegdyś istniały — — wyrzeczeniem się wielu odcieni obyczajowych czy psychologicznych jest twierdzenie, jakoby między ludźmi nie było żadnych różnic...

Kojarzenie się par narzeczeńskich czy małżeńskich odbywa się często właśnie na zasadzie różnic, które podobno się przyciągają. Te uzupełniające się różnice nie zawsze muszą nosić charakter wyłącznie biologiczny. Tak też chyba jest z głównymi bohaterami powieści Turkowskiego — Tesia i Bolkiem, zakochującymi się w sobie od pierwszego wejrzenia i to po raz pierwszy w swym młodziutkim życiu.

Stosunki między młodymi nie układają się bezkonfliktowo. Dość szybko dochodzi do rezygnacji ze wspólnych, zgodnych działań — dodajmy: dość romantycznych — a miejsce obopólnego porozumienia zajmuje wyolbrzymione przez młody temperament nieporozumienie.

Nieporozumienie jest zresztą podstawą, na której rodzą się inne konflikty powieści. Najsłabiej zarysowany jest przez autora konflikt między starymi przyjaciółmi Marianem i Stanisławem. Jest on zresztą jedynie wypadkową innego konfliktu, o którym się w powieści tylko pobieżnie mówi, mianowicie konfliktu, jaki zarysował się w wyniku błędów w postępowaniu Mariana, jako kierownika zakładu pracy. Szkoda, że autor bardzo pobieżnie naszkicował tę sprawę o największej wadze z socjologicznego punktu widzenia.

Turkowski wolał wyeksponować bardziej inny konflikt — psychologiczno-pedagogiczny. Nie zapominajmy bowiem, że jest on autorem cyklu opowiadań „Do szkoły", powieści o przyszłej nauczycielce „Niebo nad sadem" i wielu wierszy, osnutych o sprawy wzajemnych kontaktów dzieci i rodziców. Nic więc dziwnego, że również w „Kajaku" Turkowski stara się przedstawić tzw. „konflikt pokoleń".

Powieściowym inspiratorem tego konfliktu jest syn nauczyciela Stanisława — Bolek. Chłopak przechodzi właśnie przez typowy okres pogardy dla wszystkich autorytetów, zarówno rodzinnych, jak i społecznych. Na szczęście jest w tej swojej buntowniczości osamotniony, nie tworzy z rówieśnikami żadnej grupy a rodzące się uczucie do Tesi, czujność ojca i wyrozumiałość miejscowych władz, którym również się naraża, sprawiają, że nie musimy obawiać się o jego przyszłość.

„Kajak" Turkowskiego, wypłynąwszy na jezioro konfliktów, na pewno wpłynie do bezpiecznej przystani. Jest bowiem w tej powieści sporo optymizmu wypływającego z twierdzenia „ludzie są dobrzy". Pod tym względem proza Turkowskiego przypomina po części utwory Gustawa Morcinka, po części Kornela Makuszyńskiego. Natomiast warstwa stylistyczna jest zupełnie inna, bardziej zbliżona do potoczności językowej. Szkoda, że w partiach dialogowych jest ona najsłabsza, że ustępuje miejsca uniformizacji językowej. Przydałoby się niewątpliwie większe zróżnicowanie dialogów, nadanie im większej elastyczności i skrótowości.

Na zakończenie tego omówienia warto dodać, że „Kajak" Turkowskiego jest jedną z czterech powieści wyróżnionych na konkursie literackim ogłoszonym z okazji dwudziestolecia Polski Ludowej przez Wojewódzką Radę Narodową w Olsztynie.

*) Leonard Turkowski „Kajak", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, 1966, str. 175.

# KRONIKA Antytelewizyjna

ARCHIMEDES

Archimedes, jak wiemy ze szkół, był uczonym i odkrywca. Gdyby żył współcześnie i posiadał telewizor, a jako polski naukowiec kupiłby go zapewne na raty, może intuicyjnie wiedziałby, co w programach zasługuje na uwagę. Nam, nie-Archimedesom, niech służy lepsza informacja telewizyjna. W niedziele, 23 października, przedstawiono pono frapująca rzecz „Plebiscyt Archimedesa". Choć znajdowałem się o tej porze w mieszkaniu, przegapiłem ją, no bo... tygodnik „Radio i telewizja", który czasem kupuje w kiosku naprzeciwko pewnej knajpy, w takich kioskach z reguły łatwiej o poszukiwane czasopisma, jest bardzo skromnym magazynem informacyjnym, w ogóle na przykład nie przynosi wiadomości o ciekawych programach zagranicznych stacji radiowych, a tym razem nie uwzględniono wspomnianej rzeczy nie tylko w krótkim omówieniu, ale nawet w tygodniowym rozkładzie.

Czekaliśmy na „Beniowskiego" w opracowaniu Adama Hanuszkiewicza, który licznymi osiągnięciami zdobył zasłużony kredyt u telewidzów. Tym razem spotkało nas, powiedzmy to sobie szczerze, duże rozczarowanie. Już sam układ może budzić określone zastrzeżenia. W tym wypadku właśnie fabuła poematu najmniej zasługiwała na wydobycie. Nie usłyszeliśmy najbardziej ulubionych dygresji, nawet wspaniałe oktawy, zawierające apostrofę do młodości i kochanki, ulubione w przeszłości przez wielu aktorów, po pierwsze, okrojono, po drugie, nie wypadły za dobrze w wykonaniu Adama Hanuszkiewicza, brakowało im siły wzruszania. Sama koncepcja, oparta na ilustracji, sprowadziła rzecz, uciekne się do niejakiej przesady, do poetyckiego komiksu. Chwilami wrażenie potęgowało się jeszcze przez zastosowanie chwytu z didaskaliami, który zdał egzamin u Kazimierza Dejmka, ale to co innego.

Przejmująco wypadli: Zofia Kucówna jako Swentyna i Juliusz Łuszczewski jako Ksiadz Marek.

Należało przy tym uprzedzić, że to tylko nieliczne fragmenty „Beniowskiego", przecież wielu telewidzów na pewno zetknęło się z nim po raz pierwszy...

Gdy oglądałem sztukę Stanisława Grochowiaka „Chłopcy", przypomniał mi się „Hymn starców" Gałczyńskiego.

„...My podobni jesteśmy duchom
i staramy się trzymać, lecz
czasem we śnie odpadnie nam ucho
albo noga lub inna rzecz,
czasem w mózgu zaśpiewa ptaszynka
lub króliczek podskoczy hop — siup,
czasem nawet zaszkodzi nam szynka
i już koniec, i astry na grób..."

We wstępie Konstanty Puzyna zaproponował kilka dość skomplikowanych wykładni tej sztuki, ale potem spasował i oświadczył, że można się bawić bez literackich skojarzeń, jeśli się pogodzić z drastycznym potraktowaniem starości. Staruszkowie i staruszki to tutaj chłopcy i dziewczęta przedstawieni a rebours. Takie ujęcie starości, niestety, jest zgodne z wieloma obserwacjami i nie nowa wiedza o tej fazie życia ludzkiego. Wiemy też, że można ją potraktować inaczej, inaczej też na ogół ją się traktuje. (Nie jestem zbytnio oczytany, ale turpizm da się znaleźć niekoniecznie u Baudelaire'a, w wymienianym przez Juliana Przybosia wierszu „Ścierwo", Michał Anioł napisał przejmujący wiersz, właśnie turpistyczny, o zniedołężniałej starości).

My też różnie starość traktujemy. Udała się ta sztuka Stanisławowi Grochowiakowi, szczególnym bogactwem sytuacji odznaczała się jej część pierwsza, uzyskała też sztuka szczęśliwa oprawę sceniczną, doskonałe wykonawstwo. Chwilami wydawało się, że przebyte obszary życia nie mają związku z aktualnym stanem występujących bohaterów. Jednak, co jest na swój sposób optymistyczne, mają: dowodem konflikt między Kalmitą i jego małżonką. Kazimierz Opaliński był doskonały jako starzec heroiczny, jakże ludzka była Przełożona, Zofia Małynicz, buntował się, walcząc o zachowanie swojej osobowości i tożsamości. Pożarski Zdzisława Mrożewskiego; lęk przed starością z siłą uwydatnił się w Narcyzie Zofii Rysiówny, Jadwiga Barańska jako siostra Maria uosabiała okrucieństwo młodych i... koszaro we zamiłowania; satyryczne aluzje do współczesności wzbogacały treść sztuki, celnie ujawniające zwłaszcza tendencje do instytucjonalizowania, konkretnie do zinstytucjonalizowania starości...

Z wydarzeń natury telewizyjno-towarzyskiej należy odnotować zmianę uczesania, dokonaną przez p. Edytę Wojtczak. Wszyscy — m. in. p. Zosia Bak, p. Maria Huszczowa, p. Maliniak — z uznaniem przyjęliśmy i tę odmianę najpopularniejszej spikerki TV!

Jan Huszczij

# O FILMACH DOBRZE I ŹLE

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Każda sztuka — niezależnie od swego rodzaju i narodowej przynależności — jest dziedziną, która przeżywa różne okresy: obok osiągnięć — chwile obniżenia lotów. Koło historii jest nieubłagane: wznosi czasem sztukę na niebywałe wyżyny, lecz równie bezwzględnie obniża jej miarę artystyczną. Dlatego próżnym nonsensem byłoby wymagać od artystów, by tworzyli same arcydzieła. Tym niezależnym od najlepszej woli prawom, związanym z ujawnianiem talentów artystycznych i indywidualności twórczych, podlega także kinematografia radziecka. Niestety, ostatnie lata przyniosły wyraźne obniżenie jej lotów. Nie znaczy to, że film radziecki jest zły. Przecież jest to film ambitny, nie krępowany nakazami komercjalnymi. Ale przy tym wszystkim, należące doń dzieła nie przekraczały ostatnio pod względem artystycznym poziomu przeciętności. A przecież były w kinematografii radzieckiej okresy, kiedy przyznawano jej w świecie rolę wiodącą. Kiedy film radziecki, śmiały i nowatorski, podbijał i zachwycał widownie całego świata. Historia filmu radzieckiego ma się czym poszczycić: zawiera wyjątkowo dużo wybitnych nazwisk i wielkich tytułów. Ale z talentami i nieprzeciętnymi indywidualnościami tak to już jest — nigdy nie wiadomo, kiedy pojawią się i kiedy znikną.

Filmowi radzieckiemu ostatniego okresu zabrakło oddechu nowatorstwa. Powielanie chwytów, które kiedyś przyniosły sukces, nie może go teraz mechanicznie powtórzyć. Chwyty ograne tracą swą siłę. I właśnie dlatego współczesny film radziecki rozwija się trochę w cieniu swych przebrzmiałych wielkości. Chociaż nie brak mu ambicji, choć podejmuje częstokroć bardzo interesujące treści, pod względem formalnym niewiele ma do powiedzenia. Przykładem takiego stanu rzeczy jest „PIERWSZA BASTYLIA" Michaiła Jerszowa. Reżyser pokusił się o pokazanie bardzo ciekawej akcji, o niebanalne, nie poddające się schematom narysowanie postaci Lenina. Obrał sobie za przedmiot młodzieńczy okres życia tego wielkiego działacza i myśliciela. Okres, w którym dopiero kształtowała się jego świadomość. Lenin z filmu Jerszowa ma przecież zaledwie 17 lat. „Pierwsza Bastylia" zwraca więc uwagę na ten okres jego życia, który jest stosunkowo mniej znany. Ukazując kształtowanie się osobowości Lenina, stara się go przybliżyć do nas. Wydobywa i akcentuje jego młodzieńczość, świeżość. Ukazuje go w gronie rodzinnym, wśród studentów, w sali wykładowej, a obok tego — także na pierwszym strajku, w pierwszym więzieniu i w drodze na pierwszą zsyłkę. Ukazuje więc właściwie, jak ze zwykłego młodzieńca, rodził się wielki Lenin.

Obok ciekawej, ambitnej treści, znajdujemy w „Pierwszej Bastylii" dobrą — jak zazwyczaj w radzieckim filmie — grę aktorską i kilka interesujących w swym niebanalnym ujęciu scen (np. Wołodia po otrzymaniu studenckiej legitymacji, atmosfera starego Kazania, scena cerkiewna, spotkanie z kolegami w więzieniu). Nie można jednak oprzeć się wrażeniu, że forma nie nadąża w tym filmie za treścią. Pełna jest schematów, w których dopatrywać by się można nawet poeisensteinowskiego epigoństwa. (Wołodia z matką na statku). Forma filmu zbyt mały margines pozostawia dla wyobraźni widza, przytępia jego wrażliwość tautologią słowa i obrazu. W ten sposób osłabia wymowę ciekawej problematyki. Niestety — jest to dla radzieckiego filmu ostatniego okresu zjawisko symptomatyczne.

Brunatne kłęby dymu powoli wypełniają przestrzeń zawartą w ramach ekranu. Rozsnuwają się w fantastyczne pasma, tańczą, kłębią się, wiją — zwiewne, nieuchwytne, a przecież tak realne. Potem dym jest purpurowy. I znów brunatny. Następnie — szafirowy. Wreszcie szafir miesza się z purpurą — powoli, dostojnie, tajemniczo i pięknie. Takimi obrazami przeplatana jest czołówka japońskiego filmu „KWAIDAN, CZYLI OPOWIEŚCI NIESAMOWITE". Te króciutkie obrazki mogłyby już właściwie stanowić oddzielną etiudę. Urzekającą swym misternym, naturalnym pięknem i atmosferą. Poprzedzając film Masaki Kobayshiego, delikatnie i niepostrzeżenie wprowadzają w jego nastrój, w świat czterech ekranowych baśni zbudowanych z elementów realności, którymi igra ludzka fantazja. A kiedy siedzimy już zapatrzeni i zasłuchani, jest tak, jak gdyby ów dym snujący się po ekranie owiał, ogarnął i nas — pochłonął i omamił. W wyczarowany przez Kobayshiego świat — kruchy i zwiewny — trzeba dać się wprowadzić, trzeba ulec, poddać się nastrojowi jego opowieści i marzyć razem z nim na jawie. Można zachwycić się nim na chwilę, wiedząc, że czar niedługo pryśnie, że wszystko rozwieje się, zniknie, jak ów dym, na który wystarczy dmuchnąć. „Kwaidan" roztacza przed nami świat baśni. I we właściwy baśniom sposób porusza odwieczne problemy moralne. Stylizacja baśniowa ubiera je w pozory oczywistości, prostoty, czy wręcz prymitywizmu. Ale proste słowa, zdania, gesty, uczynki, obrazy są przecież tylko pretekstem. Otwiera się pole dla ludzkiej fantazji, dla wrażliwej wyobraźni. Stąd bierze się duża wieloznaczność tych opowieści. Każdy odczytać może je na swój sposób, na miarę własnej fantazji i dociekliwości. Jest w nich sprytna maddrość podań ludowych mówiących bez zawiłości, lecz nie wprost o problemach trudnych i skomplikowanych. O ludzkim szczęściu, o miłości, o zapominaniu i wiecznie żywej pamięci, o śmierci i nienawiści; o przemijalności ludzkich istnień, pasji i idei; o małości człowieka w ogromie świata; o odwadze i tchórzostwie. Jest w nich instynktowne potępienie zła i afirmacja dobra pojęte w sposób ludowy. Jest zachwyt nad pięknem świata i uśmiech pobłażania dla ludzkich słabości. Jest wreszcie dystans i odrobina ironii w samym tonie narracji obok celowo tworzonej atmosfery grozy i niesamowitości.

Nade wszystko urzekający jest w „Kwaidanie" obraz. Patrząc nań, widzi się dopiero możliwości, jakie przed artystą ekranu otwiera barwa. Zachwyt, jaki wywołuje kolor „Kwaidana", artystyczne wykorzystanie barwy, da się porównać — w moim przekonaniu — jedynie z „Czerwoną pustynią" Antonioniego. Trzeba być wielkim malarzem kamery, trzeba mieć śmiałą i bujną wyobraźnię plastyczną, by w tak piękne kształty ująć ekranowy obraz, by w tak jednolitą materię plastyczną zespolić realistyczną fotografię z elementami malarskimi w tle, wyczarowanymi zwykłym pędzlem. Granica świata fotografii i obrazu malarskiego przebiega tu niezauważalna, oba światy przenikają się wzajemnie tak, jak realizm splata się w akcji z fantazją.

„Kwaidan" to poezja barwy, światła i ruchu. Z walorów tych film wydobywa maksimum ekspresji, układa je w najpiękniejsze fantazje obrazowe. Oszczędna lecz pełna siły wyrazu japońska muzyka i śpiew pomagają stworzyć ów specyficzny nastrój, który ogarnia widza podczas projekcji. I kiedy ogląda się „Kwaidan", budzi się w Europejczyku podziw dla wysokiej, a jakże starej kultury Japonii. Kultury, która znaczy swym piętnem tak wyraźnie i najmłodszą ze sztuk. To bardzo japoński film — w sposobie prowadzenia narracji, w zachowaniu ludzi, w poszczególnych realiach i w ogólnej wrażliwości, subtelności. Może trochę trudny w odbiorze poprzez swą japońskość, ale dla wrażliwszych kinomanów stanowiący niezapomniane przeżycie.

MARIAREL

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

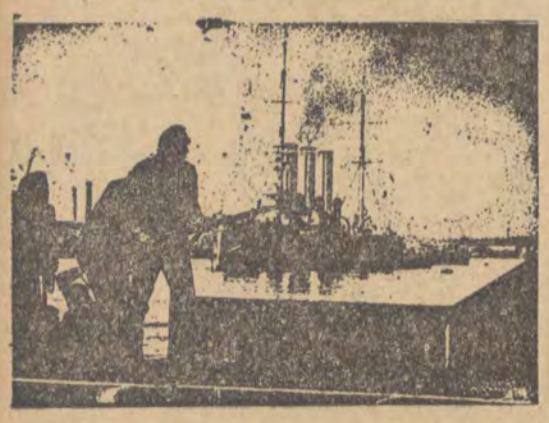

### „PAŹDZIERNIK" — FILM EISENSTEINA

■ Duże zainteresowanie publiczności i filmowej krytyki budzi w Paryżu, wyświetlany obecnie „Październik", dzieło które wybitny radziecki reżyser Siergiej M. Eisenstein (1898—1948) stworzył blisko 40 lat temu.

Był to czas, kiedy film nie operował jeszcze dźwiękiem, i słowo mówione nie mogło wspierać filmowej akcji lub tłumaczyć poszczególnych scen. Film niemy operował więc środkami wyłącznie wizualnymi. Eisenstein okazał się mistrzem. Jego film operuje metaforą, a sens i wagę historycznych wydarzeń Eisenstein oddaje przez dynamizm scen, przez zestawy nieraz zaskakujących obrazów i monumentalność. I tak np. dochodzenie do władzy Kiereńskiego, który osiągnął urząd premiera Rządu Tymczasowego, a następnie został obalony przez Rewolucję Październikową, Eisenstein przedstawia w metaforycznym skrócie. Oto Kiereński wstępuje na wielkie schody Pałacu Zimowego, równocześnie, w miarę jak idzie coraz wyżej po schodach, ukazują się napisy określające coraz większy zasięg władzy tego, który po nią sięga: „dyktator"... „minister marynarki"... „i armii". Na ekranie ukazuje się paw rozkładający wachlarz swych piór.

Prasa wspomina, że dużą trudność miał reżyser z wyszukaniem aktorów. Długo na przykład szukał kogoś, kto nadawałby się do roli Lenina, wodza zwycięskiej rewolucji. Rolę tę zagrał robotnik o nazwisku Nikandrow

„Październik jest jednym z tych klasycznych dzieł sztuki filmowej, o których znawcy historii kinematografii mówią, że dopiero po obejrzeniu ich widzi się, ile to straciła ze swego wyrazu i siły oddziaływania sztuka filmowa, gdy przeszła na obraz z dźwiękiem.

Dzieło Eisensteina „Październik" ilustrowane jest muzyką Szostakowicza.

### WYSTAWA KU CZCI ROMAIN ROLLANDA

■ Setna rocznica urodzin Romain Rollanda obchodzona jest uroczyście nietnal na całym świecie. W ciągu całego bieżącego roku w wielu krajach odbywają się akademie, odczyty, wystawy. Ostatnio w Paryżu otwarto interesującą wystawę zorganizowaną przez Archiwa Francuskie. Eksponowano liczne dokumenty i duża ilość fotografii.

Romain Rolland, laureat nagrody Nobla (w r. 1916) muzykolog i wielki pisarz, przyszedł na świat w dniu 29. I. 1866 roku w Clemency, w starej burgundzkiej rodzinie, gdzie zawód notariusza przekazywany był z ojca na syna. Romain już od dziecka przejawia wybitne zdolności muzyczne. Wkrótce ujawniają się jego pasje literackie. Mając lat dwanaście pisze swą pierwszą powieść, której tematem są walki grecko - tureckie.

Gdy ma lat czternaście przenosi się wraz z rodzicami do Paryża. Uczęszcza najpierw do liceum Ludwika Wielkiego, potem studiuje historię w Ecole Normale Supérieure. Otrzymuje następnie stypendium i wyjeżdża na studia do Rzymu. W roku 1895 zdobywa doktorat na Sorbonie pisząc pracę o historii opery w Europie oraz przyczynach upadku malarstwa włoskiego w XVI wieku. Twórczość pisarską rozpoczyna w Rzymie. Początkowo są to dramaty o tematyce historycznej, później coraz wyraźniej interesują go aktualne problemy społeczne i zagadnienia te znajdują swój wyraz w jego dramaturgicznej działalności.

W roku 1903 Romain Rolland zaczyna pisać swój wielki cykl powieściowy „Jan Krzysztof". Równocześnie pracuje nad szeregiem powieści biograficznych (seria „Żywoty sławnych mężów") o takich wielkich artystach i pisarzach jak Michał Anioł, Haendel, Tołstoj. Następnie w Szwajcarii pisze pogodną, pełną ludowego humoru, powieść „Colas Breugnon". Wybuch wojny jest dla Rollanda wielkim wstrząsem. Przystępuje teraz do aktywnej walki politycznej. Wzywa do zaprzestania działań wojennych w imię zasad humanitaryzmu. Ogłasza szereg artykułów, zebranych następnie w tomie pt. „Nad zametem". Tematyka wojenna, przeżycia z tego okresu dominować teraz będą przez jakiś czas w twórczości pisarza. Powstają „Dzienniki z lat wojny", sztuka satyryczna „Liluli", opowiadanie „Piotr i Łucja", powieść „Clérambault". Później fascynuje się Indią. Jej życiem społecznym, politycznym, jej kulturą i filozofią. W tym czasie odwiedzała Romain Rollanda pisarz Tagore i działacz polityczny Gandhi. Romain Rolland coraz bardziej zaangażowany w aktualne zagadnienia społeczne nawiązuje teraz kontakty ze środowiskami lewicowymi. W roku 1927 staje na czele Międzynarodowego Komitetu Antyfaszystowskiego. Zacieśnia przyjazne, nieraz bardzo bliskie i serdeczne znajomości z pisarzami radzieckimi m. in. z Gorkim. Walczy o pokój, zbliża się do myśli marksistowskiej. I ciągle bardzo dużo pisze. Poza artykułami do prasy, tworzy nowy cykl powieściowy pt. „Dusza zaczarowana". Pisze sztuki teatralne, wydaje książkę pt. „Wielkie epoki twórcze", i książki o Goethem i Beethovenie. Druga wojna światowa zastaje go we Francji w Vézelay, pisze wtedy „Ukochane Beethovena". Kończy jeszcze dwutomową monografię „Péguy". Umiera w 1944 roku. Pozostawił po sobie pokaźny i cenny dorobek pisarski. Jego dzieła tłumaczono na wiele języków.

### POWIEŚĆ AMERYKAŃSKA — ŚWIAT BEZ KOBIET

■ Jeśli znajdziecie się w mieszkaniu Amerykanina, który posiada tylko dwie książki, nietrudno będzie wam odgadnąć ich tytuły. Z pewnością będzie to Biblia i książka Mark Twaina. Tak twierdzi Jacques Cabau w swej pracy „Stracona preria", poświęconej omówieniu powieści amerykańskiej.

Powieść amerykańska zrodziła się dość późno, język literacki w Ameryce stworzył dopiero właściwie Mark Twain. Czemu dopiero w XIX wieku powstała powieść, skoro przodkowie obecnych Amerykanów osiedlali się na początku wieku siedemnastego? Jacques Cabau pracownik naukowy Sorbony odpowiada na to, że stało się tak dlatego, ponieważ z początku nie było w Ameryce wspólnego języka i wspólnej tradycji, zaś układy socjalne były jeszcze płynne. Mówiono w tym kraju po angielsku, francusku, holendersku. Purytanizm kolonizatorów powodował niechęć do książek poza Biblią. Pierwsza powieść amerykańska rodzi się w 1789 r. w Bostonie. Jej autorem jest William Hill Brown. Książka nosi tytuł: „The Power of sympathy". Jej treść jest typowo moralizatorska. Bohaterka umiera z przerażenia, bohater popełnia samobójstwo dowiedziawszy się, że ona i on byli krewnymi

Na trudność napisania powieści skarżyli się sami powieściopisarze. Fenimore Cooper pisał: „W tym kraju nie ma roczników, które służyłyby jako materiał dla historyka, brak ekscentryczności, która byłaby materiałem dla satyryka, takiej obyczajowości, która służyłaby za temat dla dramaturga, nie ma legend dla pisania romantycznych powieści". W czterdzieści lat później Nathaniel Hawthorne napisze: „...nikt nie ma pojęcia o trudnościach pisania powieści w kraju, który nie zna cieni, niejasności, tajemniczości...".

Jeśli Mark Twain rozwinął język pisarski, to właściwym ojcem powieści amerykańskiej był James Fenimore Cooper. To on — jak twierdzi Cabau — dał Ameryce jej legendę i mitologię oraz to czego jej najwięcej brakowało — przeszłość. To on pisał o prerii — rozległych dziewiczych ziemiach. Preria w powieściach Coopera to ziemia obiecana, gdzie panuje duch swobody, gdzie mogą się ujawnić bohaterstwo i męstwo, gdzie człowiek mógł nabrać poczucia wielkości swego dzieła i pracy. Ale równocześnie mit prerii blednie, gdy uświadomić sobie, że ci ludzie przybywający na rozległe obszary wozami krytymi płandekami, przywożą wraz z sobą swe burżuazyjne upodobania. Rodzą się wielkie obsesje amerykańskiej powieści — przeciwstawienie dobra i zła, światła i ciemności. Zarysowują się ostre konflikty między Indianinem, a traperem, między człowiekiem białym i czarnym. I oto bohater powieści Coopera zostaje sam wobec otaczającego go świata, sam wobec swego sumienia, natury i drugiego człowieka. Nie trudno zauważyć — pisze Cabau — że bohater powieści amerykańskiej od Coopera aż po Hemingwaya to „człowiek bez kobiety". Nie ma w tej powieści kobiet tak zindywidualizowanych, postaci tak sugestywnych jak w literaturze europejskiej np. Madame Bovary czy Anna Karenina. Powieść amerykańska jest w tym samym stopniu powieścią bez kobiet jak świat prerii był bez kobiet, mimo ich faktycznej obecności, preria była sprawą mężczyzn.

### WYSTAWA POŚWIĘCONA PAMIĘCI TOMASZA MANNA

■ W Paryżu przy avenue d'Iena otwarta zo-

stała wystawa poświęcona pamięci Tomasza Manna (1875—1955) jednego z najwybitniejszych pisarzy współczesnych.

U wejścia na wystawę wita zwiedzających portret autora „Czarodziejskiej góry" oraz cytat z jego pism:

„Do ostatniego tchnienia wypowiadam się za pokojem. Wszyscy, którzy pragną go tak jak ja, mogą na mnie liczyć".

Na wystawie nie ma książek wielkiego pisarza, ale są tu liczne fotokopie dokumentów i autografów Tomasza Manna. Są też fotografie członków rodziny autora „Buddenbrooków" i jego samego. Jest również 206 listów pisarza, a nawet jego autoportret-karykatura.

### MUZYKA DO FILMU O WIELKIM MEAULNESIE

■ Pisaliśmy o tym, że reżyser francuski Jean-Gabriel Albicoco adaptuje dla filmu powieść Alain-Fouriera pt. „Le grand Meaulnes" (Mój przyjaciel Meaulnes). Ostatnio prasa francuska podała wiadomość, że muzykę do tego filmu pisze Gilbert Bécaud.

### ŚMIERĆ WIELANDA WAGNERA

■ Richard Wagner (1813—1883) wielki kompozytor niemiecki w okresie romantyzmu zmarł w Wiedniu na atak serca. W taki sam sposób zakończył życie jego syn, Siegfried. Ostatnio w wieku lat 49 w Bayreuth zmarł również na atak serca prawnuk Ryszarda, Wieland Wagner, który był ze strony matki praprawnukiem wybitnego pianisty i kompozytora węgierskiego, Ferenca Liszta.

Wieland Wagner wystawiał w Bayreuth opery swego słynnego pradziadka. Sposób realizacji tych wystawień, odbiegający od tradycyjnego szablonu, budził niekiedy kontrowersje.

### SHIRLEY TEMPLE PROTESTUJE

■ Shirley Temple w latach trzydziestych była sławną młodocianą aktorką filmową. Dziś ma już ona 38 lat. Była kierowniczką programu Międzynarodowych Festiwali Filmowych w San Francisco, ale ostatnio zrezygnowała z tego stanowiska. Zaprotestowała w ten sposób przeciwko umieszczeniu wbrew jej woli w programie festiwalu filmu byłej szwedzkiej aktorki Mai Zetterling. Film ten pt. „Nocna gra" zdaniem Shirley Temple jest pornograficzny. W Wenecji wyświetlany był, z racji swych drastycznych scen, jedynie w wąskim kręgu sprawozdawców prasowych.

# POLONICA

### O KONGRESIE KULTURY POLSKIEJ

„Literarni Noviny", tygodnik Związku Pisarzy Czechosłowackich w nr 43 publikuje artykuł Jana Pilara o Kongresie Kultury Polskiej. Relację z obrad autor rozpoczyna omówieniem historycznych aspektów kształtowania się tysiącletniej kultury polskiej. Wspominając spotkanie w Wilanowie cytuje wypowiedzi Polaków, przedstawicieli Polonii kanadyjskiej, angielskiej i francuskiej, nacechowane gorącą miłością do ojczyzny. Dalszy ciąg artykułu jest relacją z przebiegu obrad, autor cytuje fragmenty wypowiedzi luminarzy polskiej kultury i nauki na temat nowoczesnego pojęcia kultury i perspektyw jej rozwoju. Artykuł kończy następującymi wnioskami:

„W wypowiedziach swych historycy niejednokrotnie wspominali o udziale narodu czeskiego w kształtowaniu się państwa polskiego. Tysiącletnie powinowactwo naszych dziejów i kultury nie jest ani fra zesem, ani wymysłem. Ale i na tym polu wyniki ostatnich dwudziestu lat przewyższyły wszystko, co osiągnięto w minionych stuleciach. Przełożono 600 polskich książek, wystawiono ponad 250 inscenizacji w naszych teatrach zawodowych. Nie możemy więc przejść obojętnie obok Kongresu Kultury Polskiej chociaż nasza problematyka kształtuje się dziś nieco inaczej. Nie ma w tym nic niezwykłego. Kiedy w swym przemówieniu stwierdziłem, że istnieje potrzeba nasilenia wymiany w stosunkach kulturalnych i tego w czym jesteśmy podobni i tego, przede wszystkim, w czym się różnimy, z poszanowaniem specyfiki naszych kultur, moje słowa zostały przyjęte burzliwymi oklaskami. Mimo tych różnic chociażby jedna nauka płynie dla nas z kongresu: nie zaszkodziło by nam więcej wiedzy w studiach nad teorią kultury, jak też i trochę tego polskiego spojrzenia historycznego i niesentymentalnego patriotyzmu".

### AVELINE O POLAKACH

W najbardziej popularnym paryskim dzienniku „France-Soir" z 9—10 października ukazał się list Claude Aveline'a na temat premiery jego sztuki „Brouart i nieporządek", wystawionej w warszawskim Teatrze Dramatycznym w reżyserii Andrzeja Szczepkowskiego. Aveline z wielkim uznaniem pisze o tym spektaklu, na który specjalnie przyjechał wraz z żoną, wspomina też o odczycie na temat zagadnień kultury współczesnej, który wygłosił w Penclubie polskim w Warszawie. Znakomity pisarz francuski był pod czas wojny działaczem Francuskiego Ruchu Oporu i pozostawał w łączności z polską partyzantką. Kilka książek Aveline'a ukazało się w polskich przekładach, radio nadawało jego słuchowisko wyróżnione wielką nagrodą międzynarodową, a sławny wiersz Aveline'a „O ptaku, który nie istnieje" znalazł u nas aż trzech tłumaczy. Aveline jest świetnym mówcą a jako delegat Penclubu francuskiego wygłosił na zjeździe międzynarodowym w Bled (Jugosławia) przemówienie na temat kultury XX stulecia, które wywarło wielkie wrażenie. Obecny swój list, zamieszczony w dzienniku „France—Soir", kończy Aveline stwierdzeniem, że literatura francuska liczy w Polsce bardzo wielu przyjaciół.

POLONICA

# Notatnik KULTURALNY

### NIEDZIELA

Takiej wystawy jeszcze chyba w Łodzi nie było. „Mała czwórka" to: Karol Baranecki, Jerzy Jankowski, Stanisław Ibis-Gratkowski i Józef Skonieczny, czterej łódzcy graficy-satyrycy, których twórczość znana jest łodzianom z dzienników, telewizji i czasopism satyrycznych. Brali udział w wystawach zagranicznych, ich prace przedrukowują pisma zagraniczne.

„Mała czwórka" i wystawa niewielka, ale atrakcyjna. Otwarto ją w foyer Teatru Nowego i fakt ten należy ocenić pozytywnie co najmniej z dwóch powodów: po pierwsze, że w ogóle wystawa satyryków, a po drugie, że w teatrze, gdzie codziennie ogląda ją kilkaset osób. W ogóle chyba teatry łódzkie jako salony wystawowe za mało są wykorzystywane, a szkoda.

### PONIEDZIAŁEK

W Wyższej Szkole Muzycznej rozpoczął się trzydniowy cykl audycji poświęconych sonatom Beethovena na skrzypce i fortepian. Inicjatywa zorganizowania takiego cyklu wyszła z Katedry Instrumentów Smyczkowych, której kierownikiem jest doc. F. Jamry. Wykonawcami byli studenci WSM, słowo objaśniające wygłaszał doc. R. Iżykowski. Interesującą tę inicjatywę zaliczyć trzeba do osiągnięć życia muzycznego w Łodzi.

*

Filharmonia Łódzka podjęła inicjatywę organizowania koncertów popularnych dla zakładów pracy. Rezygnując z jednego koncertu symfonicznego, filharmonicy koncertować będą w jeden piątek i sobotę miesięcznie dla zakładów pracy i młodzieży. Nazwa tego cyklu nie została jeszcze precyzyjnie ustalona, w każdym razie chodzi o to, by do Filharmonii przyszli słuchacze, którzy dotychczas raczej tu nie bywali. Będzie to więc muzyka nieco łatwiejsza, melodyjna, ułatrakcyjniona występami popularnych łódzkich śpiewaków. Sobotni koncert poświęcony będzie muzyce hiszpańskiej, jako soliści wystąpią: Delfina Ambroziak i Romuald Spychalski.

Nie wiadomo tylko, czy akcji tej życzyć powodzenia, jakie osiągnął w tej dziedzinie Poznań, gdzie powodzenie koncertów popularnych jest tak wielkie, że odbija się ujemnie na frekwencji na koncertach symfonicznych.

### WTOREK

Był to dzień obfitujący w atrakcje plastyczne. Otwarto aż trzy wystawy W Ośrodku Propagandy Sztuki w Parku Sienkiewicza — ekspozycję dzieł sztuki Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego oraz wystawę prac warszawskiego malarza Andrzeja Strumiłły. Pierwsza, obejmująca trzecią część zbiorów Muzeum, eksponuje kilkadziesiąt obrazów, rzeźb i grafiki i jest wizją artystyczną walk o wolność i demokrację, ukazuje walki 1905 r., okres okupacji, partyzantkę i obozy koncentracyjne. Oglądamy dzieła Krawczyka, Liberskiego, Mackiewicza, Garbolińskiego, Rózgi, Łubniewicza, Romana, Mazurczyków i in.

Ekspozycja prac Andrzeja Strumiłły ukazuje interesującą sztukę tego malarza, ciekawą w zestawieniu kolorów i fakturze obrazów.

Trzecią z otwartych tego dnia wystaw jest ekspozycja fotograficzna pn. „UNESCO ratuje zabytki Nubii" — w Klubie MPiK, pokazująca wspaniałe zabytki kultury staroegipskiej, uratowane przed zagładą w związku z budową tamy w Assuanie. Otwarciu wystawy towarzyszyła prelekcja prof. dr A. Nadolskiego.

### ŚRODA

Rozpoczęły się w Łodzi przygotowania do obchodów 49 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Przewiduje się wiele imprez artystycznych, wieczornic, spotkań, odczytów, konkursów. Np. ZMS ogłasza konkurs czytelniczy pn. „50 rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej", który będzie zakończony dopiero w przyszłym roku.

W dniach 4—11 listopada trwać będą Dni Filmu Radzieckiego. W Łodzi filmy festiwalowe: „Wierność", „Bajka o Mrozie Czarodzieju", „Samotna", „Nikt nie chciał umierać", „Pierwsza Bastylia", „Hokeiści" i „Zwyczajny faszyzm" wyświetlane będą w ośmiu kinach. W tym w kinie „Studio" do końca listopada — komedie radzieckie. Łódź odwiedzi delegacja filmowców radzieckich, którzy z publicznością spotkają się 5. XI. w kinie „Hawana" w Piotrkowie, które, jak wieść niesie, bije wytwornością i elegancją wszystkie kina łódzkie.

### CZWARTEK

Redakcję „Odgłosów" odwiedzili bawiący w Łodzi na zaproszenie Uniwersytetu Łódzkiego dwaj profesorowie historycy z Uniwersytetu w Tbilisi — Jasze Cincadze i Ilia Tabagua. Są oni autorami podręcznika historii Polski, nic więc dziwnego, że zaimponowali nam znajomością historii naszego kraju, za którą m. in. podobno, i za odwagę, naród gruziński darzy nas gorącą sympatią. Na pamiątkę pozostawili nam piękne znaczki, na których gruzińska dziewczyna trzyma w jednej ręce czarę z winem (dla przyjaciół), w drugiej miecz (na wrogów). Obejrzawszy dziewczynę, męska część zespołu redakcyjnego zapragnęła jechać do Gruzji.

### PIĄTEK

Na uroczystym koncercie z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej wystąpią m. in. laureaci konkursu piosenkarzy-amatorów wykonawców piosenki radzieckiej. Już sam ten fakt świadczy o randze, jakiej nabrała ta impreza i o poziomie wykonawczym laureatów. W Łodzi konkurs cieszy się z roku na rok coraz większą popularnością i tegoroczne zainteresowanie łodzian imprezą postawiło ją w czołówce krajowej. Jak będzie w przyszłym roku? Niebawem się okaże, bo organizatorzy ogłosili już regulamin kolejnego, VI konkursu. Warunki — jak w latach ubiegłych: wykonanie trzech piosenek, w tym 2 w języku polskim. Udział mogą brać tylko amatorzy. Laureaci ostatniego etapu z poprzednich lat — wykluczeni.

### SOBOTA

W gmachu ŁDK odbyła się sesja popularno-naukowa poświęcona rocznicy Rewolucji Październikowej, zorganizowana przez TPP-R i ŁDK. Referaty wygłosili naukowcy tej miary co mgr A. Zatorski z Zakładu Historii Stosunków Polsko-Radzieckich PAN, prof. dr I. Kostiuszko z Instytutu Słowianoznawstwa Akademii Nauk ZSRR i doc. dr W. Bortnowski, kierownik Katedry Narodów ZSRR Uniwersytetu Łódzkiego. Tematem referatów było znaczenie Rewolucji Październikowej dla kształtowania się bytu narodowo-państwowego i stosunków społecznych w Polsce, wiedza o Polsce w ZSRR oraz tradycje Wielkiego Października w stosunkach Łódź — Iwanowo.

T. WOJ.

MICHAŁ SZOŁOCHOW

# Szybałkowe nasienie

— Jesteś kobietą wykształconą, okulary nosisz, a tego nie potrafisz zrozumieć.. Gdzie ja się z nim podzieję?

Nasz oddział znajduje się czterdzieści wiorst stąd, pieszo szedłem i na rękach go niosłem. Widzisz, skóra na nogach popękała? Jeżeli jesteś kierowniczką tego domu dziecka, przyjmij dziecko! Miejsc, powiadasz, nie ma. A co ja z nim zrobię? Namęczyłem się już, wystarczy.. No tak, mój to syn, moje nasienie... Drugi rok mu idzie, a matki nie ma. Z matuśką jego w ogóle historia była niezwykła. Cóż, mogę opowiedzieć. W pozaprzeszłym roku służyłem w specjalnej sotni. W tym czasie tropiliśmy bandę Ignatiewa w stanicach nad Donem. Obsługiwałem karabin maszynowy. Pewnego razu wyjeżdżamy ze wsi, czysty step dokoła jak łysina, i upał straszny. Minęliśmy wzgórze, pod górę w las poczęliśmy się zagłębiać, ja na taczance z przodu. Patrzę, a na pagórku zupełnie niedaleko coś jakby baba leży. Popędziłem konie, do niej jadę. Zwykła rzecz — baba, a leży gębą do góry i spódnicę ma wyżej głowy zadartą. Zlazłem, patrzę — żywa, oddycha... Wsadziłem jej w zęby szablę, rozkurczyłem, chlusnąłem wodą z butli, baba ożyła. Już i Kozacy z sotni podjechali i dalej ją pytać:

— Kim jesteś i dlaczego tak bezwstydnie koło drogi leżysz?

A ona pół żywa — ledwie zrozumieliśmy, że banda z Astrachania ją ze sobą na furę wzięła, a tu ja zgwałcili i rzucili na drodze...

Mówię do Kozaków:

— Bracia, pozwólcie mi ją wziąć na taczankę, jeżeli ucierpiała od bandy.

I wszyscy zaczęli pokrzykiwać:

— Bierz ją, Szybałok, na taczankę! Baby są wytrzymałe, ścierwa, niech trochę odżyje, a potem zobaczymy.

No, jak myślisz? Chociaż nie przepadam za obwąchiwaniem babich podołków, a do niej żałość mnie zdjęła i wziąłem ją na swój grzech. Pożyła, oswoiła się — i upierze i spodnie Kozakom załata, babskie czynności w sotni wykonywała. A nam wstyd było, że ją przy sobie trzymamy. Dowódca klnie:

— Za ogon ją, kurwę, i grzbietem do wiatru!

A mnie żal jej się zrobiło. Zacząłem mówić:

— Jedź sobie, Daria, pókiś jeszcze cała, a to przybłąka się do ciebie jakaś kula, potem będziesz narzekać...

A ona w płacz:

— Rozstrzelajcie mnie lepiej, Kozacy mili, a ja i tak od was nie odejdę!

Niezadługo potem woźnice mi zabili, a wtedy ona powiada:

— Weź mnie na jego miejsce. Potrafię koło koni chodzić nie gorzej od chłopa...

Daję jej lejce:

— Jeżeli — powiadam — w boju raz — dwa taczanki nie odwrócisz — kładź się na drodze i zdychaj, bo i tak cię na śmierć zatłukę!

Woźnica był z niej taki, aż wszyscy starzy Kozacy się dziwowali. Chociaż baba, a na końskich sprawach znała się lepiej od niejednego Kozaka. Bywało, tak taczankę obróci, że konie dęba stają. Im dalej — tym więcej... Kombinować z nią zacząłem. I jak należało się spodziewać, brzuch jej urósł. Niemało od nas baby się nacierpią. Z osiem miesięcy goniliśmy za bandą. Kozacy z sotni porykują ze śmiechu:

— Popatrz no, Szybałok, twój woźnica na państwowym jedzeniu tak utył, że aż na koźle się nie mieści.

Tak się złożyło, że naboje się skończyły,

Fot. B. Kapnin

a uzupełnienia nie ma. Banda zaległa z jednej strony wsi, my — z drugiej. Mieszkańcom nic nie mówimy, że amunicji nam brak. Ale ktoś nas zdradził. W środku nocy — na straży wtedy stałem — słyszę: ziemia jękiem huczy. Lawiną idą dokoła wsi i chcą nas okrążyć. Atakują i zupełnie się nie boją, a nawet pozwalają sobie na okrzyki:

— Poddajcie się, Kozaczki czerwone, beznabojniki! Poddajcie się, bo inaczej źle z wami będzie!...

I źle było... Tak nas pogonili, że przyszło się sprawdzać kto ma lepszego konia. Zebraliśmy się rano w odległości pięćdziesięciu wiorst od wsi, w lesie, i dobrej połowy swoich nie mogliśmy się doliczyć. Jedni uciekli, a innych porąbali. Martwić się zacząłem — nieszczęście takie, a tu jeszcze Darię choroba zmogła. Wierzchem jechała przez noc i zmieniła się cała, poczerniała. Patrzę, pokręciła się koło nas i poszła do lasu, w gęstwinę. Domyśliłem się o co chodzi i za nią. Do jaru poszła, w takie wgłębienie wlazła i jak wilczyca, liści opadłych nazgrzebywała i położyła się najpierw gęba w dół, a potem na plecy się obróciła. Pojękuje, zaczyna rodzić, ja za krzakiem w bezruchu siedzę, na nią poprzez gałęzie spoglądam... Ona stęka — stęka, już krzyczeć poczyna, łzy ma na policzkach, a cała w zieleń owinięta, oczy wybałuszyła, napina się i dreszcz ją miota. Nie kozacza to sprawa, ale patrzę i widzę — nie urodzi baba, umrze... Wyskoczyłem zza krzaka, podbiegłem do niej, miarkuję w czym mogę jej pomóc. Pochyliłem się, zawinąłem rękawy i takie zmieszanie mnie zdjęło, od potu zrobiłem się cały mokry. Zabijałem ludzi, zdarzało się — nie obla'ywał mnie tchórz, a tu co innego! Krzątam się koło niej, ona wyć przestała i takie mi głupstwa gada:

— Czy wiesz, Jasza, kto bandzie doniósł, że u nas nie ma naboi? — I patrzy na mnie tak poważnie.

— Kto? — pytam ją.

— Ja.

— Co ty, durna, zwariowałaś? Nie czas teraz na takie gadanie, leż i milcz!...

A ona znowu swoje:

— Śmierć przy mnie stoi, muszę ci wszystko wyznać, Jasza... Nawet nie wiesz, jaką żmiję pod koszulą grzałeś...

— No to wyznawaj — mówię — czort z tobą!

I tu wyłożyła całą prawdę. Opowiada, a sama głową o ziemię wali.

— Ja — powiada — w bandzie z własnej woli byłam i włóczyłam się z ich przywódcą Ignatiewem... Rok temu wysłali mnie do waszej sotni, by im wszystko donosić, dlatego wtedy udawałam zgwałconą... Gdyby nie to, że umieram, całą sotnię bym rozbiła...

Tu mi serce w piersi zadrżało i nie mogłem wytrzymać — uderzyłem butem i usta jej rozkrwawiłem. Ale ją znowu chwyciły bóle i widzę — dziecko u niej między nogami... Leży mokre i wrzeszczy jak zajączek w zębach lisicy... A Daria już i płacze i śmieje się, u nóg pełza i za kolana chce mnie objąć... Odwróciłem się i poszedłem do sotni. Przychodzę i mówię Kozakom — tak i tak...

Zawrzało wśród nich. Najpierw chcieli mnie zarąbać, a potem mówią:

— Tyś ją przygadał, Szybałok, ty powinieneś ją wykończyć z jej przychówkiem, a jeżeli nie — poszatkujemy cię jak kapustę...

Padłem na kolana i mówię:

— Bracia! Zabiję ją nie ze strachu, a według sumienia, za tych braci-towarzyszy, którzy swe głowy złożyli przez jej zdradę, ale miejcie serce dla dziecka. Winni jesteśmy z nią oboje wobec niego, moje to nasienie i niech żywe zostanie. Wy macie żony i dzieci, a ja oprócz niego nikogo nie mam...

Tak prosiłem sotnię i ziemię całowałem. Zlitowali się nade mną i powiedzieli:

— Dobrze! Niech rozwija się twoje nasienie i niechaj z niego wyrośnie taki dzielny cekaemista jak ty, Szybałok. A babę wykończ!

Rzuciłem się do Darii. Ona siedzi, oporządziła się i dziecko na rękach trzyma. Mówię jej:

— Nie pozwolę ci dziecka do piersi przypuścić. Jeśli urodził się w gorzką godzinę — niechaj nie zna matczynego mleka, a ciebie, Daria, powinienem zabić za to, że jesteś kontra naszej władzy radzieckiej. Stawaj plecami do jaru...

— Jasza, a dziecko? Twoja krew. Zabijesz mnie, a ono umrze bez mleka. Pozwól mi je podchować, potem mnie zabijesz, zgadzam się...

— Nie — mówię — dostałem rozkaz od sotni. Nie mogę cię zostawić przy życiu, a o dziecko się nie martw. Kobylim mlekiem będę karmił, nie dam mu umrzeć.

Cofnąłem się o dwa kroki, zdjąłem karabin, a ona chwyciła mnie za nogi i buty całuje...

Wracałem nie oglądając się, drżą mi ręce, nogi pode mną się uginają, i dziecko, śliskie, gołe, z rąk wypada...

W pięć dni potem przejeżdżaliśmy koło tego miejsca. W wąwozie nad lasem chmura wron..

Wymęczyłem się z nim.

— Za nogi go i o koło!... Po co ci te kłopoty, Szybałok? — mawiali Kozacy.

A mnie żal maleństwa. Myślę: „Niech rośnie, kiedy ojca nie stanie — syn będzie bronić władzy radzieckiej. Pamięć po Jakowie Szybałce pozostanie, nie umrę jak zielsko, potomstwo zostawię..." Dasz wiarę, jeśli ci powiem, dobra obywatelko, prawdziwymi łzami przy nim płakałem, chociaż przedtem nie wiedziałem co to łzy. W sotni ożrebiła się kobyła, zastrzeliliśmy źrebaka, mleko było dla małego. Początkowo nie chciał smoczka, a potem się przyzwyczaił, ssał go nie gorzej niż inny pierś matki.

Koszulę mu uszyłem ze swoich kalesonów. Teraz trochę z niej wyrósł, ale to nic, jeszcze jest dobra...

Postaraj się mnie zrozumieć: dokąd ja z nim pójdę? Za mały, powiadasz? Mądry jest i nawet żuć umie... Nie daj mu zmarnieć! Weźmiesz?... Dziękuję, obywatelko! Jak tylko rozbijemy fominowską bandę, przyjdę go odwiedzić.

Żegnaj, synku, Szybałkowe nasienie!... Rośnij... Ach, sukin syn! Dlaczego ojca za brodę tarmosisz? Czyż nie pieściłem cię, nie piastowałem? A ty na sam koniec bić się zaczynasz. Niech ciebie przy rozstaniu w łepetynkę pocałuję...

Nie martwcie się, dobra obywatelko, myślicie, że on będzie krzyczał? Nie-e-e! To też bolszewik, gryźć — gryzie, nie ma co ukrywać, ale łez z niego nie wyciśniesz!...

1925

Tłumaczył: ROMAN GORZELSKI

## SPEKTAKLE tygodnia

**FILM**

Kino „WŁÓKNIARZ" — „Winnetou"
23 seanse — 10 392 widzów 75 proc.

Kino „ZACHĘTA" — „Marysia i Napoleon"
35 seansów 6 033 widzów 60 proc.

**TEATR**

| | | | |
|---|---|---|---|
| NOWY — „Panna młoda" | — 2 spektakle | 600 widzów | 45 % |
| — „Kowal, pieniądze; i gwiazdy" | — 4 spektakle | 2200 widzów | 80 % |
| NOWY — „Ojciec" Mała Sala | — 4 spektakle | 800 widzów | 100 % |
| JARACZA — „Czarownice z Salem" | — 4 spektakle | 1600 widzów | 59 % |
| — „Kaukaskie koło kredowe" | — 3 spektakle | 1200 widzów | 50 % |
| POWSZECHNY — „Mocne uderzenie" | — 2 spektakle | 1300 widzów | 99 % |
| — „Tango" | — 1 spektakl | 660 widzów | 100 % |
| „My fair lady" | — 3 spektakle | 2080 widzów | 100 % |
| 7.15 — „Taka noc nie powtórzy się więcej" | — 5 spektakli | 2110 widzów | 100 % |
| — „Piekło Izabeli" | — 3 spektakle | 1200 widzów | 94 % |
| TZŁ — „Bliźniak" | — 4 spektakle | 795 widzów | 71 % |
| — „Rewolwer" | — 4 spektakle | 1219 widzów | 100 % |
| OPERETKA — „Fajerwerk" | — 7 spektakli | 6469 widzów | 83 % |

## KSIĄŻKI NADESŁANE

Wacław Sieroszewski — BENIOWSKI t. I/II, WL, cena zł 25.—

Adam Hollanek — LEWOCKI CYKLOP, WL, cena zł 15.

Z. Żabicki — „KUŹNICA" I JEJ PROGRAM LITERACKI, WL, cena zł 38.—

Leon Gomolicki — WYPRAWA NA PATMOS, WL, cena zł 13.—

Roman Jurvś — CO? KTO? GDZIE? KIEDY? ZAGADKI Z HISTORII, WP, cena zł 15.

Józef Kelera — KPIARZE I MORALIŚCI, WL, cena zł 22.—

Barbara Eysymontt — PO DRUGIEJ STRONIE ZEGARA, WLub, cena zł 14.—

Stanisław Helsztyński — PRZYBYSZEWSKI, WL, cena zł 40.—

Kazimierz Żygulski — DROGI ROZWOJU KULTURY MASOWEJ, WZw, cena zł 25.—

## Lewym okiem

### ŁÓDŹ NA DNIE

*Słyszałem niedawno przez radio humoreskę Huszczy, w której zastanawiano się, jak ma sobie poradzić pewna kawiarnia z ogromnym napływem gości. Szybko mianowicie rozeszła się wieść, że w tej właśnie kawiarni można dostać naprawdę smaczną kawę. Chętni walą tłumnie — gdzie ich posadzić?*

*Można było rozbudować lokal. Ba — to już inwestycje, plany, finanse, lokalizacja — sprawa na parę lat; znaleziono wyjście znacznie prostsze: kawa przestała być smaczna. Od razu przypomniałem sobie notatkę, opublikowaną w styczniu bież. roku przez „Życie Gospodarcze". Cytuję: „MHW uszeregowało miasta i województwa wedle jakości podawanej w nich kawy. NA DNIE JEST ŁÓDŹ, potem idzie Warszawa, Koszalińskie Rzeszowskie i Szczecińskie...". Czy Łódź musi być na dnie co do jakości kawy, bo ma za mało kawiarni? Ludziska — wiadomo — i tak przyjdą i będą stać nad głową bliźnim, dopingując ich spojrzeniem i wściekłym pomrukiem do pośpiechu...*

*Znacie ten lapidarny, samorodny, typowo polski dowcip: dawniej nad sklepem wisiał szyld z napisem „Rzeźnik", a wewnątrz było mięso; teraz mamy neon z napisem „Mięso", a wewnątrz jest... rzeźnik. Dowcip się częściowo zdezaktualizował, bo jest w środku i rzeźnik i mięso, tyle że kupić niełatwo. — Sprzedaż po godzinie czternastej! — powtarza niezmordowanie „kierownik zakładu" i udzielanie tej informacji zastępuje mu działalność czysto handlową, aż do owej czternastej godziny. — Mam pani pokazać zarządzenie? — pyta jeszcze co niecierpliwsze klientki. Wierzymy jednak na słowo. Na pewno jest takie zarządzenie i na pewno oparto je na założeniu, że ludzie pracujący przed południem czynią zakupy po południu, i że nie można zostawiać im pustych sklepów. Ale są i tacy, którzy pracują po południu, a kupować muszą rano. Jak odróżnić jednych od drugich? Legitymować?*

*Ponieważ my, Polacy, lubimy mięsiwo jak mało kto na świecie, popyt ciągle wyprzedza podaż i szuka się sposobów złagodzenia problemu. To jest też sposób: utrudniać. Na przykład sprzedawać tylko blondynom. Albo co drugiemu w kolejce. Albo co drugą godzinę. Nic nie jest tak łatwe, jak utrudnianie, i nic nie jest bardziej dalekie od klasycznego pojęcia handlu.*

*No cóż, możemy sobie ponarzekać, ale przecież uznać musimy, że sytuacja handlu jest naprawdę trudna. Co byś nie poradził, to źle. Dużo mówiło się o tym, że sprzedawcy wolą sprzedawać drogie towary, bo szybciej wykonują wtedy plan. W większości branż to jest prawda. A oto czytamy w „Kulturze" rozważania Brodackiego na temat handlu książkami. Księgarze otrzymują, oprócz stałej, niskiej zresztą płacy, prowizję, zależną od wartości sprzedanych książek. Więc — powiada* **Brodacki** *— zamawiają chętnie książki droższe ze szkodą dla tych dzieł, które wyceniono nisko w imię świadomej polityki wydawniczej i kulturalnej. Autor sugeruje więc, żeby prowizję uzależnić od ilości sprzedanych egzemplarzy. Dobrze?*

*Nie wiadomo. Jeśli księgarz dla przykładu dostanie dwadzieścia groszy od każdego sprzedanego egzemplarza „Opowieści z dreszczykiem" (za dziewięć złotych) i tyleż samo od każdego egzemplarza „Historii kultury francuskiej" (za sto dwadzieścia złotych), to jak myślicie, czym będzie wolał handlować? Co zamówi? Drogie książki specjalistyczne, wartościowe, poważne dzieła o wolnej rotacji, zamrażające na długo środki obrotowe — czy idącą jak woda masówkę, z tygrysami na czele?*

*I tak źle, i tak niedobrze. Całe szczęście, że książka nie mięso i można ją konsumować wiele razy. Więc na niedostateczną podaż tego towaru można przynajmniej częściowo zaradzić specyficznym pociągnięciem: rozwojem handlu antykwarycznego. Ten sam Brodacki wspomina w cytowanym artykule, że przygotowuje się takie właśnie pociągnięcie. Cieszy nas to ogromnie. Duże miasto bez antykwariatów jest jakimś nuworyszem, nie budzącym sympatii. Już nawet nie wiem, czy nie lepiej mieszkać w mieście, w którym kawa jest najgorsza, a mięso sprzedaje się po czternastej...*

ĆWIEK

**Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 3058 XI.66. E-11**